Herman Sudermann.

HONOR

utwór dramatyczny w 4 aktach.

Z upoważnienia autora przełożył

RYSZARD ORDYŃSKI.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

OSOBY:

Mühlingk, radca handlowy.
Amalia, jego żona.
Kurt } jego dzieci.
Leonia }
Lotar Brandt.
Hugo Stengel.
Hr. Trast-Saarberg.
Robert Heinecke.
Heinecke, ojciec Roberta.
Żona Heineckego.
Augusta } ich córki.
Alma }
Michalski, stolarz, mąż Augusty.
Pani Hebenstreit, żona ogrodnika.
Wilhelm, służący.
Jan, stangret.
Indyjski służący hr. Trasta.

Rzecz dzieje się w Charlottenburgu w rejonie fabrycznym Mühlingka.

AKT I.

Pokój w domu Heineckego. Małomieszczańskie, bardzo zniszczone meble, wśród których wyróżnia się kilka wspaniałych jak: dwa jedwabne fotele, z początku okryte szarymi pokrowcami i wielkie złocone zwierciadło. — Na komodzie i półkach ściennych, naczynia kuchenne. Na prawo od publiczności stół przy kanapie zastawiouy naczyniem do kawy, na lewo długi, zwyczajny stół, na nim garnek z klajstrem, tektura i gotowe kartony. Mały stołek roboczy.

SCENA I.

Pani Hebenstreit i pani Heinecke.

Pani Heinecke sprząta w pokoju.

Pani Hebenstreit drzwiami z prawej. A więc to prawda? — Syn wasz przyjechał? —

Pani Heinecke. Pst! Pst! — Na miłość Boską! — Śpi! —

Pani Hebenstreit. A gdzie? czy w Almy pokoju?

Pani Heinecke. Ma się rozumieć! — Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Można głowę stracić z radości. Siada na stołku.

Pani Hebenstreit. A w pałacu już wiedzą?

Pani Heinecke. Musiał im się zameldować, bo ci to zawsze jego państwo, a dziś pójdzie z wizytą.

Pani Hebenstreit. Kiedyż to on właściwie stąd wyjechał?

Pani Heinecke. Zaraz. Siedm — ośm — dziewięć i pół roku. — Tyle czasu nie widziałam swego dziecka. Płacze.

Pani Hebenstreit. I poznaliście go odrazu?

Pani Heinecke. A skądbym ja się mogła spodziewać?! — Wczoraj wieczór, może było koło ósmej... Stary poszedł po Kuryerka a ja sobie siedzę i przyszywam Almie koronkę do spódnicy, pani, ile ta dziewczyna potrzebuje bielizny — to strach!... ale nic — wtem ktoś puka i wchodzi sobie mężczyzna — co ja gadam, pan, elegancki pan w drogiem, bobrowem futrze — o, tu wisi — weźno pani w rękę, co to za bobry! — byłam pewna, że to jakiś z tych lepszych znajomych Almy, jeden z przyjaciół pana Kurta —

Pani Hebenstreit podchwytując. Aa, a jakże...

Pani Heinecke. O, bo to wcale nie są dumni panowie i nie wstydzą się porozmawiać z biedakami z oficyny. — Tak ci sobie myślę, a ten tymczasem ciska płaszcz i kapelusz na ziemię — taki elegancki cylinder, no poprostu — na ziemię i pada przedemną na kolana. — Myślałam, że mnie dyabli wezmą, ale jak zawołał: Matko, ojcze! czy mnie nie poznajecie?... to ja, Robert, wasz syn, Robert... ach, droga pani, jak to było

ładnie. Sama nie wiem, jak ja tę radość przeżyję!... Płacze.

Pani Hebenstreit. No, no, uspokójcie się, kochana pani sąsiadko. I radość ma swój koniec! Bo to, jak powiadają, moja pani, klęczy pod figurą, dyabła ma za skórą.

Pani Heinecke. Jak też pani możesz takie rzeczy gadać? Mój syn jest dobrym synem i eleganckim synem.

Pani Hebenstreit. Zanadto elegancki, moja pani, zanadto! Jeżeli ktoś bywał w tylu pańskich domach i tylko na jedwabiu i aksamicie się wylegiwał —

Pani Heinecke wskazując na fotele. To sobie i u nas na to może pozwolić!

Pani Hebenstreit z grymasem. No! no! żeby tylko chciał!

Pani Heinecke. A ja pani mówię, że będzie chciał! Serce matki nie zna rangi ani stanowiska. — O Jezu! ja tu sobie stoję i gadam! A — gdzież mój stary znowu siedzi? — Nie widziałaś gdzie pani mojego męża? — Bo jak mu znowu co w nogę wlezie, to bądź zdrów!

Pani Hebenstreit. A widziałam go rano. Stanął sobie na słońcu przy trzech stopniach mrozu z ogromnym plakatem. Mówił, że go ma suszyć.

Pani Heinecke. Trzeba staremu zostawić tę przyjemność. — Do północy majstrował coś koło

tego, tak, żeśmy oboje spać nie mogli. Bo też moja pani, taka uciecha...

SCENA II.

Ciż. Heinecke.

Heinecke kuleje, jedna ręka sztywna; wchodzi z ogromnym plakatem. Hurra! — Mam go nareszcie...

Pani Heinecke. Cicho stary!

Heinecke przytłumionym głosem. „Witaj, drogi synu, w domu rodzicielskim!“ A co? galanto — prawda?

Pani Hebenstreit. Patrzcie, ludzie, to szajba do strzelania!

Heinecke. A dzielne serce ojcowskie posłuży za centrum. E! pani też gadasz. —

Pani Heinecke. Schowajże to ucho od surduta Moja pani sąsiadko, pani go przecie zna.

Heinecke bierze młotek i gwoździe, staje na środku i przybija plakat na ścianie.

Pani Hebenstreit. Bo skądto właściwie syn wasz ma i to wykształcenie i te eleganckie maniery? — Chyba nie z ojca rodziny.

Pani Heinecke. Ani też z mojej. Bo to, widzi pani, będzie ze siedemnaście lat temu, jak nasz pan tam w pałacu dostał tytuł radcy handlowego. — Z tej okazyi była tam wielka uroczystość z karetami i illuminacyą i różnemi historyami a dla ludzi z fabryki piwo za darmo. —

No, i wtedy, moja pani, mąż mój sobie za dużo pozwolił — no, bo i dlaczegożby się nie miał napić — stary, nie stukaj tyle — kiedy go to nic nie kosztowało? — no i jak te ekwipaże ruszają, stary mój pada pod koła i złamał sobie rękę i nogę.

Heinecke stojąc na stołku. O mnie mówisz, stara? Tak, tak! To nie żarty! Gwiżdże.

Pani Heinecke. Nie gwizdaj, słyszysz! Posłyszeli o tem państwo z balkonu i kazali się zaraz o nasz cały dom i o inne rzeczy wywiedzieć. No, a że ci z tego nowego tytułu dużo było radości, więc obiecali nam o nas pamiętać a najstarszego syna na własny koszt wychować.

Pani Hebenstreit. No, i dotrzymali słowa?

Heinecke. Jeszczeby też. Pracuje dalej.

Pani Heinecke. Niby dotrzymali. Nas umieścili tutaj w oficynie, gdzie — Bogu dzięki — do dziś dnia siedzimy, a Roberta posłali do miasta na wychowanie; tam się chłopak pilnie uczył i nabył wykształcenia. A kiedy na wakacye przyjeżdżał do domu, zapraszali go państwo do pałacu na czekoladę z kremem i do zabawy z małą panienką, bo młody pan Kurt był jeszcze przy piersi.

Pani Hebenstreit. A ten znowu więcej z Almą?

Pani Heinecke przytłumionym głosem. Jak to pani myśli...?

Pani Hebenstreit. E, tak sobie!

Pani Heinecke. A potem posłali go do Hamburga, aby go zapoznać z handlem zamorskim — a kiedy miał lat dziewiętnaście, wybrał się w podróż aż do samych Indyów, gdzie podobno straszne gorąca! Tam bratanek naszego pana radcy prowadzi składy kawy i herbaty.

Heinecke. A to u nich rośnie, jak u nas mlecz na łąkach — schodzi ze stołka — — Galanto — co?

Pani Heinecke. No, i jemu był do pomocy. A teraz, o Jezu! — jest u nas, a ja sobie tu stoję z założonemi rękami i —

Pani Hebenstreit. Idę już, idę! Do widzenia, moja pani! A pamiętaj pani, że nie wiedzieć co w kim siedzi, jak dyabeł za skórą! Na stronie. Miła hołota! Odchodzi.

SCENA III.

Heinecke, Pani Heinecke.

Heinecke. To ona sama — dyabeł stary!

Paini Heinecke. To wszystko zazdrość, tylko zazdrość! —

Heinecke. Matko, a skądżeś ty do licha tę babkę wytrzasnęła?

Pani Heinecke. To kucharka przyniosła z pozdrowieniem od jaśnie panienki.

Heinecke odwracając się. Co tam z pałacu przynoszą, to ja o tem nie chcę wiedzieć! Ale nasz pan syn mógł się już był przecie wysaćp. We

fabryce już wnet będą gwizdać na drugie śniadanie. Spoglądając na plakat z radością. Witaj, drogi — —

Pani Heinecke wybuchając. Stary, cicho, przecie on...

Heinecke. Kto?

Pani Heinecke. Nasz chłopak.

Heinecke wskazując na plakat. Nie zapomniałem o tem.

Pani Heinecke. Pst! Coś się rusza. — Podsłuchuje. No, już wdziewa trzewiki! Mój Boże! Jak sobie pomyślę, że on tam w pokoju stoi i wdziewa trzewiki i że zaraz tu wejdzie temi drzwiami—

Heinecke. Tu mu nic więcej nie powiemy, tylko: witaj, drogi — położyłaś mu na umywalce to francuskie mydło Almy?

Pani Heinecke. Ileż ja razy tu siedziałam i myślałam, czy też on tam ma wygodne łóżeczko? I czy go też dzicy ludzie przypadkiem nie zjedli? A wreszcie jest tu z nami, z nami razem, mój stary! — Słuchajno, stary, — nie dłub tam rodzynek z babki!

Heinecke. Wielkie rzeczy! — Kiedy mi się podoba! —

Pani Heinecke. Cicho!... idzie już, idzie!... I znowu ci ucho wylazło... Mógłbyś się też wstydzić... Przeciera ręką pokrowce na krzesłach. Jezu, tak mi jakoś serce bije...

SCENA IV

Robert, Heinecke, Pani Heinecke.

Robert wybiega naprzeciw rodziców, którzy stoją sztywni i zakłopotani. Dzień dobry, ojcze... dzień dobry, matko! Ściska matkę i całuje ją kilkakrotnie w rękę. Jestem — zupełnie — jestem niewymownie — szczęśliwy!

Heinecke. „Witaj, drogi“ — widząc, że Robert chce go w rękę pocałować, ociera ją szybko w spodnie. Co, chcesz i mnie w rękę całować?

Robert. Jeżeli, ojcze, pozwolisz?

Heinecke podając mu rękę. Tu się dopiero widzi, co to jest dobry syn...

Robert rozglądając się. Nareszcie więc jestem tu znowu! I jeszcze trudno mi wierzyć, czy to wszystko prawda?... A może to tylko sen? Ładnażby to była historya!... Ach — a jakżem ja tęsknił za domem! — mój Boże, jakżem tęsknił!... Wyobraźcie sobie tylko, człowiek w nocy siedzi tam w jakiejś dziurze i nagle wszystko, co porzucił, staje mu przed oczyma: matka, ojciec — i to podwórze i ten ogród i fabryka — w tem nagle wiatr porusza ze szumem długie liście palmowe nad głową a z daleka słychać krzyk papugi! — Piękne marzenie znika i człowiek się przekonuje, że siedzi samotny na drugim końcu świata... Brr!

Heinecke. Papuga, powiadasz?... A no, to musi być bardzo ładnie?... Bo u nas to tylko bogaci ludzie trzymają sobie papugi.

Robert. A gdybyście wiedzieli, ile trosk przeszło przez moje myśli w ostatnich latach i jeszcze teraz w powrocie do domu, czy też wszystko tak zastanę, jak to sobie w mojej tęsknocie wyobrażałem!

Heinecke. A czemużby nie?

Robert. A trzeba wam wiedzieć, że był tam ktoś — drogi zresztą przyjaciel, najlepszy mój przyjaciel, — który starał się moje oczekiwania zachwiać. — Stałeś się dla nich obcy — mówił — a co czas i los dawno złamały, trudno dziś zlepić — i Bóg wie, co mi tam jeszcze nagadał. — I wtedy doprawdy zdjął mnie dziwny lęk i przed nim i przed wami i przed sobą samym... Ale Bogu dzięki i ta troska już minęła. Wszystko, wszystko mi się spełniło. — I wszystko to jest prawdą i rzeczywistością, na com się przez dziesięć lat tak cieszył!... Tu wy! mój ojciec — matka — skromni i sercu memu drodzy — — czule trochę wprawdzie już przygarbieni — ale to trudno!... Prostując się. Bo i na cóż ta para młodych rąk? Niezapominajcie, że te ręce nauczyły się złoto zdobywać!... A moje siostry? Pewnie wkrótce nadejdą!... Patrzajcie — stary ojca garnek z klajstrem w tem samem jeszcze miejscu. — Przygląda się garnkowi. Tu mój akt bierzmowania —

oprawiony na ścianie. A maszyna parowa huczy i łoskocze rozkosznie, jak dawniej.

Pani Heinecke. Pewnie ci ten stary grat nawet zasnąć nie dał... bo też huczy caluteńką noc...

Robert. O moja matko, nigdy ładniejsza piosenka do snu mnie nie kołysała. I kiedym już zasypiał, mówiłem sobie: łomotaj, hucz i sap, starucho, ile ci się podoba. Ale wytężając wszystkie swoje siły, nie potrafisz lepiej odemnie tu leżącego, pracować około świetności domu Mühlingków. Bo to jest dźwignia, z którą się liczyć należy. — Czyż to nie piękna myśl? sercem wówczas całem byłem oddany naszym dobroczyńcom.

Heinecke. Hm, hm!

Robert. Mówiłeś co, ojcze?

Heinecke. Ja? nic!

Robert. I poprzysiągłem sobie nie ustać w pracy dla nich aż do ostatniego tchnienia.

Heinecke. Mnie się zdaje, żeś się już dosyć dla nich napracował.

Pani Heinecke. Przez dziesięć lat męczyłeś się tylko, tyrając swoje zdrowie.

Robert. Nie tak strasznie, moja matko. Dlatego zmieńmy ton naszej rozmowy!... Dom Mühlingków z dnia na dzień dawał mi nowe powody do wdzięczności. Listy starego radcy do mnie były prawie przyjacielskie a złaszcza listy Kurta, który niedawno został współwłaścielem firmy.

Heinecke. Kurt — alabonheur, to elegancki chłopak. Ale pamiętaj, że i tu koniec tensam: murzyn zrobił swoją powinność, jak powiadają... Ja ich znam za dobrze!

Robert chciał coś odpowiedzieć, ale odwraca się tylko z zachmurzonem czołem.

Heinecke. No, Robertku, rozejrzyj się tylko! Jakto, nie widzisz? Stara, słyszysz, nie widzi!—

Pani Heinecke. Ach, dałbyś spokój ze swojemi głupstwami!

Heinecke. Jakto głupstwami —?! Jeżeli z radością witam drogiego syna w domu rodzicielskim, ty to głupstwem nazywasz? Prowadzi go do plakatu. No... otwórz oczy! — I cóż ty na to?

Robert. Jakto, ojcze, więc to twoje dzieło, twoje, mimo złamaną rękę?

Heinecke. Ba! Jabym ci jeszcze ładniejsze rzeczy wymajstrował! Gdybym ja, biedny kaleka, nie chwycił się czasem roboty, szanowna nasza familijka dawnoby już z głodu zginęła... No, matko, czegoż się gapisz? Gdzie kawa?

Pani Heinecke. No, no! Odwraca się ku odejściu.

Robert biegnąc za nią. Niech się mama nie gniewa!

Pani Heinecke. Gniewać się? E, stary tylko tak gada, żebyś myślał, że to on tu rządzi domem! Odchodzi.

SCENA V.

Robert, Heinecke. Później **Pani Heinecke.**

Robert i Heinecke milczą.

Robert przykry nastrój przerywając. Pudełka także jeszcze lepisz, ojcze?

Heinecke. Ręka, hahaha, ręka! Chciałbyś widzieć, jak ja lepię? Naprzód klajster — o! — potem się składa — o! i idzie doskonale! Z wielką szybkością przeciąga pędzlem po kilku kawałkach tektury, które potem lewym łokciem silnie spaja. I zrobi ci to kto tak, jak biedny kaleka?

Robert. Ojcze, dokazujesz cudów.

Heinecke To się wie, że cudów! Ale któż się na tem pozna? Kto mnie uszanuje? Nikt! Naturalnie, takie wielkie damy — jedna już sama panią majstrową — miałyby mieć dla mnie szacunek, skoro własna matka taki im przykład daje!

Robert z niechęcią. Ależ, ojcze!

Heinecke. E, co ty możesz wiedzieć! Z daleka to się wszystko ślicznie przedstawia! A jakże: a to kochana mateczka a to urocza siostrunia! — Ale żebyś zblizka zobaczył, ile ja muszę znosić! Grosza na tramwaj mi nie da, jak czasem pójdę do miasta na piwo.

Robert. Ojcze, zdaje mi się, że ją krzywdzisz? Czyż nie strzeże cię jak oka w głowie?

Heinecke. Mój Boże, ja też nic złego nie mówię, tylko... pst, idzie!

Pani Heinecke wchodzi z dymiącym imbrykiem z kawą. Siadaj, Robertku! Tu, tu, na fotelu! — Czekajno! ściąga pokrowiec. Taki wielki pan powinien na samym jedwabiu siadać!

Robert. Hoho!... co za przepych!

Pani Heinecke. Mamy jeszcze drugi taki. Dwa wspaniałe fotele. A widziałeś to lustro? Szczerozłote ramy, i całe z jednego szkła. Mąż Augusty powiada, że takie lustro kosztuje najmniej dwieście marek.

Robert. A skądże wy macie takie zbytki?

Pani Heinecke. To od pana radcy z pałacu.

Robert. Więc on wam robi takie podarunki?

Heinecke. Właściwie —

Pani Heinecke szeptem. Cicho, stary! Czy nie wiesz, że pan Kurt nie życzy sobie, aby o nim mówić? Głośno. Tak, na Boże Narodzenie w zeszłym roku darował nam lustro a w tym roku te foteliki. Stary, nie świdrujże tyle w tej babce.

Robert. Otwarcie mówiąc, nie bardzo mi się podoba ta hojność z jego strony.

Pani Heinecke nalewa kawę. Bo też i nie każdemu pasują takie elegancye. Ale widzisz, mój synu, skoro się miewa takie eleganckie wizyty i takiego wielkiego pana za syna a córkę z takim strasznym talentem —.

Robert. Kto? Alma?

Heinecke. A to się wie! Zrobiliśmy dla naszej córki, co tylko było w naszej mocy.

Pani Heinecke. I ty zawsze na czas przysyłałeś pieniądze.

Robert. W tym celu, aby uczęszczała do wzorowej szkoły a potem kształciła się w modniarstwie i buchalteryi — wszakże tak było umówione.

Pani Heinecke. To prawda. Ale dawniej!

Robert. A teraz? Więc porzuciła posadę?

Pani Heinecke. Hoho! od sześciu miesięcy!

Robert. I czemże się teraz zajmuje?

Heinecke z dumą. Kształci się na śpiewaczkę.

Robert. Nie słyszałem nigdy o talencie Almy do muzyki.

Heinecke. Ogromny!

Pani Heinecke pijąc kawę. Głos jej badała jakaś włoska śpiewaczka — siniora czy coś takiego — i powiedziała, że czegoś podobnego nie słyszała i będzie więc mogła poprostu Almę kształcić zadarmo.

Robert. Ale jakże, moi drodzy, mogliście mi o tem nie donieść?

Pani Heinecke. Mój Boże, do tych gorących Indyów takie światy, że się niejedno zapomni. Zresztą chcieliśmy ci sprawić niespodziankę.

Robert wstaje i przechadza się wzburzony po pokoju. Ale Augusta ciągle się nią opiekuje?

Pani Heinecke. Naturalnie. Nie spuszcza jej z oka. Alma i stołuje się i ćwiczy się u niej, nawet czasem, jak już wieczór tramwaje nie chodzą, to i na noc zostaje, jak dzisiaj.

Robert. A jeśli na wieczór nie wróci, nie lękacie się o nią?

Heinecke. Ho, ho! Taka duża dziewczyna!

Pani Heinecke. Jesteśmy pewni, że u Augusty ma dobrą opiekę! — Nie wiem, czemu ich jeszcze niema, bo mleczarka raniutko wzięła list do nich. Ależ to będzie uciecha!

Robert. Jakże Augusta? Sczęśliwa z mężem?

Pani Heinecke. Rozmaicie to bywa. On się lubi upić a i do roboty nie bardzo skory, ale za to —

Heinecke. Drugim dokuczać i skandale robić — do tego ma dosyć ochoty.

Pani Heineke. Zdaje się, że przytem wszystkiem nie źle im się powodzi. Augusta urządziła sobie po pańsku dwa pokoje i wynajęła je jednemu eleganckiemu panu z Potsdamu, który tam od czasu do czasu tylko zagląda, ale płaci regularnie za cały miesiąc. To ładny grosz przynosi. Za samą kawę na śniadanie płaci markę. Podchodząc do okna. A! otóż Augusta! prowadzi i męża ze sobą.

Robert. Jakto? A Almy niema?

SCENA VI.

Ciż. Augusta, Michalski wchodzą.

Augusta. Jesteś nareszcie! Całują się. No, tobie musiało się chyba zawsze dobrze powodzić? — Ale poco się tu pytać? — Kto się tak elegancko

stroi! — Choć to powiadają, że nie wszystko złoto. co się świeci. — A tu mój mąż.

Robert. Kochany szwagrze, daj mi rękę i bądź mi bratem.

Michalski. Zawiele zaszczytu. Nie często spracowana ręka dosięgnie tego zaszczytu.

Robert. Szwagrze, słowa twe nie brzmiały po bratersku. Do Augusty. Gdzie Alma?

Augusta. Księżniczka nasza nie wydawała się sobie dość piękną dla swojego brata. — Miała sobie jeszcze loki zakręcić.

Robert staje zdumiony.

Augusta. Przyjedzie pewnie następnym tramwajem. A gdzie babka, mamo? Pani Heinecke podaje babkę, Augusta i Michalski jedzą.

Pani Heinecke. Robertku, pozwól jeszcze kawałek. Robert dziękuje: wszyscy jedzą — pauza.

Heinecke. I cóż ty na to, Michalski? „Witaj, drogi synu, w domu...

Michalski jedząc. E, waryactwo!

Robert zdziwiony. Ależ, szwagrze!

Heinecke. Co?... Waryactwo?... Co moje dobre serce i ta martwa ręka sfabrykowały —

Robert uspokaja go.

Michalski. Jestem człowiek prosty i każdemu gadam prawdę w oczy. Nie znoszę dziecińtswa i blagi. Kto tak ciężko pracuje, jak ja, komu głód i bieda wiecznie na karku siedzą...

Heinecke. Zwłaszcza, kiedy się o jedenastej

przed południem idzie na spacer i spokojnie zajada babkę.

Augusta. Że też wy zawsze coś ze sobą macie? Do Michalskiego. Mógłbyś wreszcie dać spokój. Widzisz przecie, że ojciec dziecinnieje.

Heinecke. Co?... ja dziecinnieję, ja?... dobrze. Teraz widzisz, jak się ze mną własne dzieci obchodzą.

Robert po cichu do Augusty. Daruj, siostro. — Nie pojmuję, jak się można w ten sposób odzywać.

Augusta. Cóż takiego? Słychać pukanie, wchodzi służący w liberyi z bukietem w ręku.

SCENA VII.

Ciż. — Wilhelm.

Wszyscy prócz Roberta. A, Wilhelm! Dzień dobry, Wilhelmie! Heinecke i Michalski podają mu ręce.

Pani Heinecke. Dla kogóż to taki piękny bukiet? Pewnie do miasta.

Wilhelm. Ale gdzie, to do was! — — Czy to pan jest młody Heinecke? Robert potwierdza. Poufale. Bardzo mnie to cieszy, żeśmy się poznali. Chce mu uścisnąć rękę.

Robert z uśmiechem. Bardzo mi przyjemnie.

Wilhelm. Jaśnie państwo kazali pana serdecznie pozdrowić i posyłają panu te kwiaty. Są to najładniejsze okazy z naszej oranżeryi. Ale pod sekretem panu powiem — że te kwiaty dała

mi właściwie jaśnie panienka, bo jaśnie panienka wogóle bardzo się za panem — —

Robert ukrywając wzruszenie. Czy kazano o tem mówić?

Wilhelm. To jest, właściwie — nie.

Robert. W takim razie należy schować dla siebie. Służący zwraca się ku drzwiom.

Pani Heinecke. Może zjecie z nami kawałek babki, Wilhelmie? Mamy jeszcze trochę.

Robert. Przepraszam cię, matko. Daje mu pieniądz. Temu człowiekowi należy się zapłata. — Proszę zameldować panu radcy, że około drugiej będę miał zaszczyt zgłosić się do niego wraz z hrabią Trast-Saarberg. — Może odejść. Wilhelm odchodzi.

Pani Heinecke. Hrabia?—Cóż to za hrabia? —

Robert. Jest to przyjaciel mój, matko, któremu wiele zawdzięczam.

Augusta cicho do Michalskiego. Słyszałeś — hrabia przyjaciel!

Michalski cicho. Zdaje mu się, że nam tem zaimponuje.

Pani Heinecke. Zaraz bukiet włożę do wody! — Ale z Wilhelmem źle się obszedłeś, Robertku. — To nasz przyjaciel.

Augusta. My prości ludzie nie mamy hrabiów przyjaciółmi.

Michalski. Musimy się trzymać lokajów.

Pani Heinecke. Tak, tak, z Wilhelmem musisz

być grzecznym. Dla nas to zrobisz, Robertku. — On nam bardzo wiele czyni dobrego. Niejeden kawałek pieczeni, niejedną flaszkę wina nam wpakował.

Robert. I ty przyjmowałaś to, matko?

Pani Heinecke. Czemu nie? — Jesteśmy biedni ludzie, moje dziecko. — Jesteśmy szczęśliwi, jak się nam co oberwie.

Robert. Moja matko! Podwoję chętnie swoje trudy, od ust sobie odejmę, aby wam na niczem nie zbywało. Jednak prawdą, przyrzekniesz mi, matko — że od tego służącego nic więcej nie przyjmiesz.

Pani Heinecke. Ale toby była czysta duma i marnotrawstwo! Dobrego podarunku nikt nie powinien odrzucać. A skoro ci opowiadał o jaśnie panience, to tylko dlatego, aby ci przyjemność zrobić. Bo to z nią wogóle dziwna historya. Jak tylko mnie spotka na podwórzu, nie przejdzie, żeby się nie spytać, czy nie było od ciebie wiadomości, czy ci gorące powietrze służy, i tak zawsze coś. A przytem zawsze tak dobrze na mnie patrzy! — Oj, chłopcze, gdybyś ty miał rozum — —

Robert. Na miłość Boską przestań, matko!

Heinecke. Hoho, toby była gratka dwa—milionki.

Michalski. Dałbyś się wtedy naciągnąć, szwagrze?

Robert do siebie. Czy ci ludzie mnie chcą zamęczyć?

SCENA VIII.

Ciż. Alma.

Alma w żółtym żakiecie, zalotny kapelusz, starannie ufryzowana, szwedzkie rękawiczki, kilka bransoletek i rażący parasol. Wchodzi przez nawpół otwarte drzwi. Dzień dobry, dzień dobry wszystkim!

Robert spieszy ku niej i ściska ją. Alma! No, nareszcie!

Michalski do Augusty. Masz — zeszły się dwa gagatki!

Robert z pieszczotą do Almy. Słuchaj, siostrzyczko, choćbyś była tak brzydką, jak jesteś ładną, to jeszcze zawsze możesz się starszemu bratu spodobać. —

Alma. A, fe! Gusto!

Robert. No, no, nie mówię tego w złej myśli! Proszę się zaraz rozchmurzyć!

Alma przymilając się. Kochany mój braciszeczku!

Augusta cicho. Co za czułości!

Pani Heinecke pomaga Almie zdjąć okrywkę.

Heinecke. No, i cóż ty? — Głaszcze ją po policzkach. Jesteś moim drogim skarbem, czy nie?

Alma podśpiewując. Oui, cher papa, c'est Girofla!

Heinecke. Słyszysz, jak ona śpiewa? Wszystko po włosku.

Robert. Ale prawda... o czem ja się dowia-

duję? Chcesz podobno koniecznie zostać wielką śpiewaczką?

Alma. Gdyby się udało, nie zgniewałabym się wcale.

Pani Heinecke. Almeczko, może zjesz kawałek babki?

Alma. Merci beaucoup! Zjadając, przechadza się przed lustrem.

Robert. I cóż, pracujesz pilnie?

Alma pełnemi ustami potwierdza. Codzień po południu mam godzinę lekcyi... Do, re, mi, fa, sol, la si — si, la, sol fa — Ach, te gamy, te gamy! Co za nudy!... I te ciągłe ćwiczenia!... Jestem zupełnie zdenerwowana!

Pani Heinecke. Biedne dziecko!

Alma. O yes, Ma! Bo trzeba ci wiedzieć, że i angielskiego się uczyłam! Jestem strasznie wykształcona!... Czego ja nie umiem!

Heinecke. Hoho, a jakże!... widzisz!

Alma. A zresztą!... Raz się tylko żyje na świecie... Główna rzecz: trzeba być wesołym... A tyś wesoły, braciszku?

Robert. Rozumie się. Jeśli tylko mam przyczynę...

Alma. To mi sztuka! Trzeba być wesołym bez przyczyny. Bo i na cóż młodość? Ach, życie jest takie piękne!... Codzień zdarza się coś nowego!— A Berlin taki ładny!... Jakie śliczne ulice! A światło elektryczne! Widziałeś kiedy? Ja pa-

syami lubię!... W tem świetle każdy wygląda tak uroczo blado, tak... interesująco!... I restauracye także mają elektryczne oświetlenie! To bajeczne!... Widziałam któregoś dnia, w tej nowej kawiarni na placu Dönhoffa — taki olbrzymi kinkiet... niby girlanda z kwiatów, a w każdym kwiatku jedno światełko.

Robert. Jakto, byłaś w tej kawiarni?

Alma. Ja? Gdzież znowu! — Widziałam to przez szyby z ulicy! Czegoś podobnego niema tam w twoich Indyach? nieprawdaż? —

Robert. Zapewne, że niema.

Alma. Postąpiliśmy wogóle bardzo daleko w cywilizacyi. — Ktoś mi opowiadał, że u nas już prawie tak ładnie jak w Paryżu. Czy to prawda?

Robert. Nie znam Paryża, moje dziecko.

Alma. O fe! to szkoda. — Młody człowiek powinien znać Paryż.

Robert nie wiedząc, czy się dziwić, czy zachwycać. O, ty mój mały głuptasku!

Alma. Hahaha!... Jestem zabawna, nieprawdaż? Hahaha! — Tak, tak, cóż robić! Hahaha!... Ze śmiechem podchodzi w podrygach do Augusty i daje jej pod nos chusteczkę, którą złożoną we troje miała pod paskiem. Powąchaj — no!

Augusta ciszej. O! Znakomite! Skąd to znowu?

Alma cicho. Isora. Najświeższa nowość Paryża, ...dziś właśnie dostałam.

Augusta j. w. Wychodzisz dzisiaj?

Alma j. w. Nie wiem jeszcze. — Da mi znać dopiero. — Ale za to jutro wieczór idziemy na maskaradę, hahaha!

Robert. A teraz, moja mała, pogadajmy ze sobą rozsądnie. Chodź tu, siadaj sobie... tu, naprzeciw mnie, tutaj — o! —

Alma. Mój Boże, jakiś ty dziwny! — Zupełnie jak na przesłuchaniu sądowem.

Robert. Muszę cię przynajmniej zasypać pytaniami.

Starzy grupują się za krzesłem Almy. Michalski siedzi na warsztacie Heineckego. Augusta obok niego na stołku.

Alma. A więc, proszę. — S'il vous plait, monsieur. —

Michalski cicho do Augusty. Ładna historya.

Robert. Powiedz mi przedewszystkiem, jakim sposobem odkryłaś w sobie talent?

Alma. To — jak miłość — przyjdzie, ani się nie spodziejesz.

Robert niezadowolony. Hm... Ktoś jednak musiał ci to pierwszy powiedzieć. — Alma rusza ramionami.

Pani Heinecke. Przypomnij sobie, dziecko. — Wszak to pan Kurt — pierwszy. —

Robert. Jakto? Młody szef?

Heinecke. A tak — naturalnie.

Robert. Skądże on — ?

Pani Heinecke. Z podwórza — przez okno słyszał jej śpiew. — I zaraz oświadczył, że toby był wstyd i hańba, aby taki głos —

Robert. Almo, czemu matce pozwalasz odpowiadać za siebie?

Augusta do Michalskiego. Jaka ona nieśmiała!

Alma. Aby taki głos marnował się w oficynie — i, że wogóle ja tu w oficynie się zmarnuję, bo — powiada — łaskawa panno Almo, na to panią szkoda.

Pani Heinecke. Na własne uszy to słyszałam! Moja łaskawa panno — mówił...

Heinecke. To się wie!... Moja córka. Hoho!

Robert. Mów dalej, Almo!

Alma. Skoro moi rodzice zajęli się bratem pani, ja się panią zajmę, powiedział. No, i wkrótce potem wybrał mi nauczycielkę, która utrzymuje u siebie tak zwany cercle musical — to jest „cyrkiel muzykalny“ — — same młode panie tam się kształcą, wszystko z najlepszych rodzin.— Jedna z nich nawet jest zaręczona z oficerem od huzarów.

Robert. Jakże się nazywa ta nauczycielka?

Alma niedowierzająco. Dlaczegoż się o to pytasz?

Robert. Bo to w żaden sposób nie powinno być tajemnicą.

Alma. Signora Paulucci.

Heinecke z zapałem. Całkiem po italiańsku.

Robert wyjmując notes z kieszeni. I mieszka?

Alma szybko. Nie potrzebujesz do niej chodzić. Wszystko w porządku.

Robert. Naturalnie, że w porządku. Pragnął-

bym jednak z ust samej nauczycielki dowiedzieć się o twoich postępach. Alma szuka wzrokiem Augusty.

Augusta. Możesz ją jutro odprowadzić na lekcyę.

Alma żywo. Ach tak, dobrze, jutro!

Robert. I owszem! — Wstaje i przechadza się wzburzony po pokoju. Nie chciałbym cię martwić, moje dziecko, ale muszę wam otwarcie wyznać, że nie podzielam waszych wielkich nadziei.

Heinecke. No, no?...

Robert. Próżność i ambicya niejedną młodą istotę zwabiły na tę drogę. A ta droga niebezpieczna! — Daleko niebezpieczniejsza, niż wam się zdawać może. — Jestem mocno przekonany, że pobudki młodego szefa są najczystszej i najszlachetniejszej natury, ale... Jeżeli jednak jutro z wiarygodnych ust usłyszę, że moje powątpiewania są płonne, — ja sam chętnie zajmę się tobą i ani na chwilę nie spocznę, dopóki nie staniesz na najwyższym szczeblu swojej sztuki.

Alma bierze wazon ze stołu i kryje twarz w kwiatach.

Robert. A jednak rzecz szczególna, że wszystko, nawet teraz i to niesłychane szczęście zawdzięczamy w gruncie rzeczy rodzinie Mühlingków.

Michalski śmieje się szyderczo, Robert to uważa, ale nic nie mówi.

Alma. Mamo, któż mi taki piękny bukiet przysłał?

Pani Heinecke. To pozdrowienie od jaśnie panienki dla — wskazuje Roberta.

Alma. Ach, od tej! Odsuwa wazon od siebie.

Robert. Wybaczcie! Jedno pytanie! Zauważyłem, że na wspomnienie pałacu albo którego z jego mieszkańców, każde z was uśmiecha się znacząco albo wtrąca jakąś złośliwą uwagę. Jedynie tylko pan Mühlingk junior, zdaje się, doznaje szczególnych względów. Bez ogródek! — Co macie do zarzucenia naszym dobroczyńcom? Jaki wam dali powód do użalania się? Milczenie. Tobie naprzykład, panie szwagrze, który co dopiero szyderczo się uśmiechałeś? Milczenie. Albo tobie, Almo, która nie chciałaś się tknąć nawet kwiatów pochodzących od panny Mühlingk? Matka mówiła mi, że okazuje jej wiele życzliwości.

Alma. Życzliwości, ona? Ależ ta dumna istota, nie wie już, jak mi swą wyższość okazać, ile razy mnie spotka; nigdy słowa do mnie nie przemówi i uważa za łaskę, że mi się odkłoni. O, ja ją znam!

Augusta. I to samo ze mną!

Robert z boleścią, do siebie. To dziwne, dawniej taką nie była.

Pani Heinecke czule. Niechno tylko Robert się z nią ożeni —

Robert przestraszony przerywa jej nagle. Ależ, matko! — Wybacz! Przypomniałem sobie wła-

śnie, że przywiozłem coś dla sióstr moich. I dla pana — dla ciebie, szwagrze.

Augusta zrywając się, z chciwością. Cóż takiego? Gdzie? Gdzie?

Robert. W sypialni, na stole. Przy każdym podarku jest karteczka. Augusta, za nią Alma i Michalski wychodzą.

Heinecke. A o nas to zapomniałeś?

Robert. Dla was, moi drodzy, te zamorskie fatałaszki mi nie wystarczały. Powiedzcie najlepiej, czego sobie życzycie?

Pani Heinecke. Mój Boże, jakżebym się cieszyła, gdyby mi ktoś do tych dwóch fotelików dokupił kanapę. — Widząc, że Robert nieprzytomnie zapatrzył się przed siebie. Ależ ty mnie wcale nie rozumiesz.

Robert z bolesnym wyrzutem. Nie, matko, nie rozumiem cię, doprawdy.

Heinecke bardo. A jabym sobie winszował — nowy garnek do klajstru, na to się chyba możesz zdobyć. Alma, Augusta i Michalski wracają. Augusta z pstrym szalem, Alma z etui, Michalski z nargilą w ręku otaczają Roberta i dziękują.

Augusta. Co za szkoda, że szale indyjskie wyszły z mody.

Michalski ciągnąc wężem powietrze. Oczywiście— nie ciągnie.

Robert do Almy, która się bawi biżuteryą. Czy jesteś zadowoloną, Almo? Widzisz, te jasnoniebieskie kamienie to szafiry indyjskie.

Alma. Wcale paradne! Jakkolwiek ciemne szafiry są w moim guście. Mają ładniejszy ogień.

Robert. Skądże się tak dobrze znasz na tem?

Alma. Ach mój Boże — z wystaw jubilerskich! Tacy nędzarze jak my często stają przed wystawami.

Robert. A cóżto za świecidełka masz w uszach?

Alma. To?... Ach... imitacya. Para — dwie marki.

Robert. Tego się przecież nie nosi, moje dziecko — i jeżeli mi przyrzekniesz, że natychmiast je złożysz — mam w skrzyni jeszcze nadzwyczajną niespodziankę dla ciebie!

Alma z grymasem zdejmuje kulczyki. A więc — proszę!

Robert. Jestto kostyum indyjskiej księżniczki, który przyjaciele moi zdobyli w czasie wyprawy wojennej. Wyobraź sobie! Różowy, złotem wyszywany!

Alma z radością. O Boże, to cudowne!

Michalski śmiejąc się. A potem pewnie powiesiliście goluteńką na drzewie?

Robert patrzy na niego ze zdumieniem.

Alma przymilając się do niego. O ty mój kochany, złoty braciszku! Stangret w liberyi puka do okna.

Pani Heinecke. Idźno, zobacz, czego Jan chce.

Alma do Augusty. Pozielenieją wszystkie ze zazdrości, jak mnie jutro zobaczą na maskaradzie. —

Augusta. Pst!

Heinecke od okna. Alma, Jan powiada, że pan Kurt o trzeciej jedzie do miasta i pyta się, czy z nim pojedziesz? Augusta i Alma zamieniają ze sobą spojrzenia.

Robert. Cóż to ma znaczyć?

Augusta. To bardzo proste. Pan Kurt ma swój powóz, a jako grzeczny, młody człowiek zaproponował Almie raz na zawsze, by z nim jeździła.

Robert. Jakto? I wy na to pozwalacie? I ty, siostro, zgodziłaś się na to?

Alma. Uboga dziewczyna pragnęłaby też czasem w powozie się przejechać.

Pani Heinecke. Oszczędza się przytem pieniądze na tramwaj.

Robert. Na miłość Boską! I cóż mówią panie z pałacu?

Alma. O, te o niczem nie wiedzą. Jeżeli mam jechać, powóz czeka przy tylnej furtce, którą tylko robotnicy wchodzą i wychodzą.

Robert. Tem gorzej! Jakież wstrętne przypuszczenia musi ta tajemniczość nasuwać... Sama tego nie czułaś? — Almo, zbliż się do mnie!... Spojrzyj mi w oczy.

Alma patrząc zdziwionym wzrokiem na niego. No?...

Robert bierze jej głowę w obie ręce. Nie, te oczy nie kłamią!.... Jesteś czystą, tak, — jesteś. Całuje ją w czoło i w twarz.

Heinecke. No, zdecyduj się. — Jan czeka.

Robert. Powiedz, ojcze, Janowi, że wpierw jeszcze umówię się z jego panem.

Alma. Na co? Przecież wszystko umówione.

Robert. Nie pojedziesz już nigdy powozem młodego pana Mühlingka. Dla dziewcząt twojego — to jest, naszego stanu wystarcza jazda tramwajem.

Alma wybucha grymaśnym płaczem.

Pani Heinecke. Biedne dziecko!

Augusta. Zdaje się, że chcesz cały dom do góry nogami przewrócić. — Na podwórzu słychać krzyk dzieci.

Heinecke od okna. Hej! — Chodźcie, chodźcie — prędzej! — murzyn!... Ma turban na głowie.

Wszyscy biegną do okna, prócz Roberta, który potrząsając głową patrzy za nimi. Murzyn! — Nie, to nie murzyn!

Alma jeszcze dziecinnie zapłakana. Robert... czy to — jest... murzyn?

Robert ponuro. Nie, moje dziecko, to jest indyjski służący mojego przyjaciela.

Pani Heinecke. Twój przyjaciel — to ten hrabia?

Robert. Tak, matko. Służący wchodzi. Wszyscy go otaczają.

Robert. Rogarita, powiedz panu swemu, że w domu mego ojca powitam go z radością.

Służący odchodzi. — Wielkie wrażenie. Pani Heinecke ustawia fotele i ociera zwierciadło.

Alma stając przed zwierciadłem. Ten twój hrabia młody, czy stary? Robert nie odpowiada. Ach, jakie czerwone oczy — strasznie czerwone, prawda, Gościu? A nuż młody! Odchodzi na lewo.

Michalski. Chodź, Gościu, nie przeszkadzajmy aśnie panom. Oboje odchodzą.

Heinecke. Jaśnie panie hrabio, tak mu powiem, niech pan hrabia siada sobie na tym foteliku, o! tak mu powiem. — O! ja się znam na tem.

Pani Heinecke. Baron to tu już raz był, jeden z przyjaciół pana Kurta. Pamiętasz, stary? Pytał się o zdrowie Almy. — Ale hrabiego nigdyśmy nie mieli.

Robert. Któż to był taki, matko?

SCENA IX.

Ciż. Hrabia Trast.

Hr. Trast mężczyzna 40 do 50 lat, szpakowaty, długa blond broda, ubrany elegancko z niedbałością obcokrajowca.

Robert spieszy na jego powitanie i ściska mu rękę.

Trast po cichu. Co tobie? — Czy to jeszcze gorączka za domem rodzinnym? Głośno. A więc to są owi, tak tęsknie upatrywani. Ściska ich ręce. Czy wiecie, szanowni państwo, że tu przed wami stoi prawie wasz syn? Przyjaźń mojego drogiego, starego druha uprawnia mnie po części do tego tytułu.

Heinecke wysuwa się wśród ustawicznych ukłonów za drzwi.

Pani Heinecke. Czyby też pan hrabia nie pozwolił kawałek babki? Zostało nam tu jeszcze.

Trast. Dziękuję, owszem — owszem.

Pani Heinecke dygając odchodzi.

SCENA X.

Trast, Robert.

Trast. Pobladłeś, mój chłopcze, ręce ci drżą. Co tobie?

Robert. Ach nic! Szczęście — mój drogi — wzruszenie! Wszak to naturalne!

Trast. O, naturalne. Do siebie. Kłamie! Głośno. Powiedz mi właściwie, jak długo zamyślasz tu pozostać? Chciałbym stosownie do tego uregulować mój pobyt w Europie.

Robert. To niepodobna, drogi przyjacielu! Nasze drogi się rozchodzą.

Trast. Tam do licha!

Robert. Będę prosił szefa, aby mi dał posadę w kraju. Klimat indyjski — pojmujesz...

Trast. Ładna historya! Bardzo więc miło trzymać się matki fartuszka.

Robert. Nie kpij sobie ze mnie, ale i nie pytaj się więcej. A ponieważ wkrótce mamy się rozstać — nie mogę tego zamilczeć — więc dzięki ci, mój drogi, niedobry przyjacielu, za wszystkie

twoje dobrodziejstwa. Błogosławię tę chwilę mego życia, kiedyś mnie ujrzał w klubie na Buitenzagu, stojącego w gorączce za krzesłem młodego szefa, który jedną setkę za drugą puszczał na zielony stolik.

Trast. Czemuż byłem taki głupi, żem cię kochał do szaleństwa, kiedy ty mnie teraz — fe, to nie pięknie...

Robert. Trast, oszczędź mi tych przykrości. Widzisz, ja tobie wszystko zawdzięczam. — Kiedy wówczas usłyszałem twoje nazwisko, firmę Trast i spółka, wszechpotężną od Yokohamy aż do Adenu, miałem uczucie, że stoję przed cesarzem.

Trast. Cesarz z łaski worków kawy.

Robert. Przedsiębiorstwo Mühlingka w Batawii zagrożone było wówczas zupełną ruiną. —

Trast. Nic w tem dziwnego, jeżeli największy nicpoń na archipelagu stał na jego czele.

Robert. Czekało mnie tylko odwołanie i zwolnienie ze służby. Wówczas ty wziąłeś biednego, obcego komisanta pod swoje skrzydła, twoje rozgłośne imię otworzyło mi drogę do stosunków, przy twoich światłych radach wyrosłem na mężczyznę — i kiedy pan Benno Mühlingk nadal wiódł swoje hulaszcze życie, kierownictwo interesów przeszło powoli w moje ręce — — —

Trast. A koniec piosnki ten, że firma Mühlingk wraz z swoim czcigodnym zastępcą wzbo-

gaciła się przez nas o kilkroć tysięcy. Szkoda! wolałbym, żebyś ty sam to wszystko był zarobił! Teraz muszę twemu pierwszemu szefowi otworzyć oczy. Jeśli cię obecnie nie przyjmie przynajmniej na wspólnika, to się rozgniewam i taką mu wytnę zwyżkę kawy, że poczciwa niemiecka żołądź dojdzie do niebywałego poszanowania. Ale biorąc rzeczy poważnie, czemu koniecznie chcesz pozostać w służbie tych ludzi? Pójdź ze mną, mój chłopcze. Ofiaruję ci królewską pensyę i co roku na gwiazdkę nową parę spodni.

Robert odmawia ruchem głowy.

Trast. Zdaje się, że to nie sama wdzięczność jest źródłem tego szaleństwa. Może w końcu do inwentarza firmy należy jeszcze jaka zacna panienka, która — n. s. Aha! Głośno. Ale skoro już mowa o panienkach — Wyobraź sobie, jaką miałem wczoraj przygodę! Kiedyśmy się wieczorem rozstali, zacząłem się włóczyć bez celu po ulicach. Wpadł mi w oko ogromny afisz zapraszający na maskaradę. Sto bajaderek — jak afisz głosił — miało wykonać swoje czarujące indyjskie tańce. Na tem polu jestem rzeczoznawcą — pomyślałem sobie i poszedłem na maskaradę. Ach! mój drogi — wszystko tam jakby umyślnie nakłaniało nowicyuszów klasztornych do rychłego składania ostatnich ślubów. Nagle w tym tłumie spotykam młodziutką istotę, świeżą jak nawpół dojrzała brzoskwinia z niestartym jeszcze me-

szkiem. Była, jak się zdaje, bez pana. Nacieram tedy. A ona, nie w ciemię bita, prosi mnie słodkim, dziecięcym głosikiem o tę zabawkę, która wisi u mego łańcuszka. Jestto sobie mały indyjski fetysz ze złota, mój patron Ganeza, bóg powodzenia, który jak wiesz, jedzie na szczurze. Tak więc szczury się zwąchały. I wyobraź sobie, przechadzając się z nią, pod tym puszkiem dziecinnej niewinności — znajduję? Najzupełniejsze naiwne zepsucie! —

Robert zalękniony. Więc coś podobnego może się zdarzyć?

Trast. Słyszysz przecie. Serce moje nauczyło się bić tem tętnem, jakiego wymaga obyczaj kraju, w którym goszczę. Chętnie bowiem staję się niewolnikiem położenia. Na wschodzie trzymam sobie harem, we Włoszech przy blasku księżyca przeskakuję mury ogrodowe, we Francyi płacę rachunki krawców damskich — a w Niemczech — mój Boże — nawracam na drogę cnoty. — Wszystko tak, jak być powinno. Na wschodzie kocha się zmysłami, we Włoszech fantazyą, we Francyi kieszenią, w Niemczech, tylko sumieniem. Postanowiłem tedy zepsute dziecko przerobić na pokutującą Magdalenę. Ale nie miałem czasu rozpocząć mojego posłannictwa, bo szampana jeszcze nie odkorkowano, — gdy wtem wpada na mnie jakiś pan — coś z dyabła, coś z błazna — i szpetnie mi ją odbija. — Uszanowałem dawne

prawa i uboższy o jeden dobry uczynek poszedłem spać! Wielebym jednak dał za to, gdyby mi przypadek jeszcze raz to słodkie stworzenie...

Robert z boleścią zakrywa sobie twarz rękami.

Trast. Tam do djaska! — co tobie? — Pst—

SCENA XI.

Ciż. Pani Heinecke.

Pani Heinecke. Robertku!

Robert. Słucham, matko?

Pani Heinecke. Może masz grajcarek przy sobie? Do Trasta. Moja córka Alma pragnie panów ugościć buteleczką wina. To wcale nie ordynarne wino, to najlepsze, jakiego można dostać.

Robert. I to pewnie z pałacu?

Pani Heinecke z dumą. Rozumie się!

Robert. Oto jest! Rzuca swój scyzoryk na stół.

Pani Heinecke. Jakiteż z ciebie chłopak!

Robert. Tak — tak. Masz słuszność, matko. Przepraszam! Pani Heinecke odchodzi.

SCENA XII.

Trast, Robert.

Trast. A teraz wyspowiadaj się, mój chłopcze. Zawierz mi wszystko!

Robert. Ach — bodajbym był nigdy do ojczyzny nie wracał!

Trast. Hola! Z tej strony wiatr wieje?

Robert. Wstydzić się muszę stanu, w którym się urodziłem. — Najbliżsi moi są dla mnie obcy. — Cała moja istota wzdryga się przy zetknięciu z nimi... Nie dowierzam własnemu mózgowi, bo jedno waryactwo za drugiem strzela mi do głowy. — Trast, zdaje mi się czasami, że straciłem szacunek dla łona, które mnie nosiło.

Trast. Głupstwa pleciesz.

Robert. Gdybym ci chciał opowiedzieć, ile ja przecierpiałem. Każde poważnie wypowiedziane słowo było dla mnie uderzeniem pięści, a każdy żart policzkiem. Zdawało się, że tylko o tem mówić potrafią, co mi przykrość sprawia... Myślałem, że wracam do ojczyzny, a tymczasem znalazłem się w obcym świecie, w którym nie mam odwagi odetchnąć. — Radź, mój drogi, co począć?

Trast. Spakować kufry.

Robert. Byłoby to tchórzostwo i bezlitosna ucieczka. Czyż zasłużyła na to ta, która mi dała życie?

Trast. Mój drogi, — zstąpmy z wyżyn patosu. Rzecz ta powinna być jasną dla nas, którzyśmy istotę kastowności u jej źródła badali. Podobny podział na kasty istnieje i tutaj; nie różnią się one jednak między sobą ustawami codziennego życia lub zasadami małżeństwa i religijnej etykiety. To są tylko drobnostki. Nieprzebyte przepaście uczuć oddzielają je doszczętnie.

— Każda kasta ma swój własny honor, własne ambicye, własne ideały, ba, nawet własny język. Dlatego nieszczęśliwy ten, kto ze swej kasty się wykoleił a nie ma odwagi zerwać z nią zupełnie. Podobnie wykolejonym jesteś i ty a wiesz dobrze, że i ja takim byłem. To, co dziś ty odczuwasz, ja sam przed laty przeżyłem. Jak sądzisz? Jakie mogły być myśli młodego, szykownego oficera kawaleryi, kiedy pewnego ranka zbudziwszy się przypomniał sobie, że tej nocy przegrał okrągłą sumkę 90 tysięcy talarów, którą w przeciągu 24 godzin ma zapłacić? I cóż mi pomogło, że pojechałem do domu i ojcu memu do stóp się rzuciłem? Byłby chętnie skórę zdarł z ciała i zastawił, aby honor mojego, czy swojego nazwiska ratować, ale skóra ta była już niestety zastawiona. A ponieważ mi już nic więcej dać nie mógł, dał mi przynajmniej swoje przekleństwo.

Robert wpatrzony przed siebie. I ty miałeś odwagę żyć dalej!

Trast. Haha! Jakto, więc nie wiesz, jak się to stało?

Robert roztargniony i niepokojem dręczony. Nie wiem już nic — nic — nic...

Trast. A więc posłuchaj. Może ci się to kiedyś przydać. Kiedy moi towarzysze broni mnie żegnali, oddali mi ostatnią przyjacielską usługę, w milczeniu kładąc przy mnie nabity pistolet. Obejrzałem go sobie ze wszech stron. Rozumia-

łem dobrze, że jako człowiek pozbawiony honoru ani godziny dłużej żyć nie mogę. Ale, kiedy lufę pistoletu przykładałem do skroni, przyszła mi nagle myśl do głowy. Ależ to brutalne, ależ to głupie! Czy jesteś dzisiaj rzeczywiście czemś mniej niż byłeś przed trzema dniami? Zasłużyłeś może na rózgi, za to, że jako głupi chłopak przyrzekałeś sumy, których nie posiadałeś, — ale na śmierć nigdy! Przez całe tysiące lat cieszyli się ludzie widokiem słonka, nie zasłaniając go widmem honoru a i dziś jeszcze 999 tysięcznych ludzkości żyje w tensam sposób. Żyj więc jak oni, pracuj jak oni i ciesz się słońcem jak oni. — Kiedy w dwanaście lat potem — dług mój oczywiście był już dawno spłacony — powróciłem do Europy, nastąpiło między mną a moim ojcem coś w rodzaju pojednania. Ale to było tylko pozornie. Gdyby mnie jako marnotrawnego syna znalazł był leżącego w prochu na swym progu, drżącemi rękoma byłby mnie z błota wyciągnął i do swej piersi przycisnął. Ale że z dumą i swobodą podniosłem głowę do góry i że sam mogłem mu darować pół miliona, tego mi nigdy nie przebaczył. W kilka tygodni później wyjechałem. Zbogacony handlarz kawy i zubożały arystokrata nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

Robert. Ojciec twój umarł —?

Trast. Pokój niechaj mu będzie w tem niebie, w które silnie wierzył! A teraz zastosuj to,

com ci powiedział, do siebie: zostaw swoim ich zapatrywania, bo ich już nie zmienisz. Wspieraj ich, jak możesz, dawaj im pieniędzy do zbytku— ale! wyjeżdżaj...

Robert. Nie mogę. I dowiesz się, dlaczego. Zamilczałem to poprzednio przed tobą, gdyż — wstydziłem się. — Mam siostrę, którą bardzo kocham. Była jeszcze dzieckiem, kiedy dom ten opuściłem. O, jakżem się cieszył, że ją znowu zobaczę! — I nie zawiodłem się, bo wyrosła na piękniejszą i milszą, niż spodziewać się mogłem. Ale miłość moja ku niej zamieniła się w trwogę i męczarnie. — Drżę z obawy przed tysiącem niebezpieczeństw, których wymienić nawet nie śmiem. Albowiem tak jak postępuje i ze sobą postępować pozwala — w zupełnej, rozumie się, niewinności — na każdym kroku sprzeciwia się memu poczuciu honoru. Przedtem, gdy mówiłeś o tej niedojrzałej zbłąkanej owieczce, zimny dreszcz przebiegł moje ciało, — bo — nie, ach po stokroć razy nie!... Tu moje stanowisko, tu zostanę i tu padnę!

Trast Przypuszczam, że masz słuszne powody. Ale nie zapominaj, że jesteś rozdrażniony i wszystko widzisz czarno.

Robert. Dałby Bóg, żeby tak było! Wspiera głowę obiema rękami.

Trast. Rozumie się — humoru ci potrzeba — w ten sposób zniósłbyś niejedno.

SCENA XIII.

Ciż. Alma.

Alma wchodzi z lewej wnosząc na tacy butelkę wina i dwa kieliszki. Hrabia ujrzawszy ją, zadrżał, Alma wydaje przytłumiony okrzyk i omal tacy z rąk nie opuszcza.

Trast szybko się opanowuje i biegnie jej z pomocą. Omal że nie było nieszczęścia, moja panno. d. s. Jest nieszczęście!

Robert obejmując siostrę. Patrz, mój drogi, to ona. — Nieprawdaż, że to anioł? Tak, a teraz idź do niego, podaj mu rączkę i powiedz: bądź pozdrowiony.

Alma ciszej. Tylko się pan nie wygadaj — no!

Trast na stronie. Nieszczęsny! Jakby go stąd wyrwać?

ZASŁONA SPADA.

AKT II.

Salon w domu radcy Mühlingka. — Bogate, lecz nieco sztywne umeblowanie. W głębi szerokie wejście do jadalni, z portyerami. — Na lewo obok kominka, sofka, owalny stół i krzesła, na prawo szesląg, mały okrągły stolik i fotel amerykański. W jadalni bogato zastawiony stół w nieporządku, wskazującym, że niedawno ukończono jedzenie.

SCENA I.

Radca i **pani Mühlingk**. **Kurt** z lewej, **Leonia** w amerykańskiem krześle z prawej z książką w ręku. Piją kawę, do której usługuje służący. Drugi służący w jadalni sprząta ze stołu.

Kurt. Powiadam wam, że ten kary wspaniały!

Radca. Ale drogi!

Kurt. Drogi, drogi — mój Boże!

Pani Mühlingk. A więc ja dodam brakującą sumę, aby tę sprawę nareszcie zakończyć.

Kurt *całuje ją w rękę.* Mateczko, składam ci moje podziękowanie!... Nareszcie będę mógł dumny na wierzchowcu ukazać się kochanym Berlińczykom. — I tobie, Leoniu, pozwolę się podziwiać!

Leonia. Owszem, drogi Kurcie. *Czyta dalej.*

Kurt. Lotar Brandt i Hugo Stengel mieli przyjść obejrzeć tego rumaka. Może i ty się przyjrzysz, Leoniu?

Leonia. O, ci niezawodnie zaraz przyjdą. Przecież nie mają innych zajęć. Rzucając wzrok na zegar d. s. Mój Boże, jak ten czas się wlecze!

Służący odchodzą.

Pani Mühlingk. Nie powinnaś, moje dziecko, takim tonem wyrażać się o tych panach! Wiesz przecie, że Lotar stara się o twoją rękę.

Leonia. Tak?...

Pani Mühlingk. Jakto, czyś tego nie uważała?

Leonia. Nie zwracałam uwagi, moja matko!

Pani Mühlingk półgłosem. Wiesz, Teodorze — to nieznośne!

Radca. Moje dziecko, aż zanadto dobrze znamy tę piosnkę. Nawet zarozumiałość na kasę ojcowską powinna mieć swoje granice.

Leonia prostując się. Zarozumiałość na kasę ojcowską?

Radca. Bo jakże inaczej nazwać twoje postępowanie? Od dziesięciu lat wszystkim bogatym i poważnym konkurentom odmawiasz swej ręki!... Prosty, skromny mieszczanin... własną pracą, z małych początków — d robiłem się tego...

Kurt n. s. To znaczy — że się dobrze ożenił...

Radca. Co mówisz, Kurcie?

Kurt. Okrzyk podziwu — nic więcej, mój ojcze!

Radca. Zapewne, nie przychodziło mi to tak łatwo, jak tobie, mój synu. Bierz ze mnie przy-

kład!... Nie lubię zarozumiałości i wymagam tego również od moich dzieci. W ten tylko sposób można żyć gustownie!

Kurt. n. s. I tanio!

Leonia. Ojcze, zarzut twój mnie nie dotyka...

Pani Mühlingk. Bądź więc łaskawą i wymień nam powody...

Leonia z wyrzutem. Mamo!

Pani Mühlingk nerwowo. O, — proszę!

Leonia wstając. Mój Boże — czemu nie pozwalacie mi życie w ten sposób urządzić, jak tego moje usposobienie wymaga. Wszak jestem skromna. Proszę jedynie o to, aby mi wolno było żyć dla samej siebie.

Radca. I to nazywasz skromnością?... A gdzież w takim razie święte węzły rodzinne?

Pani Mühlingk do Radcy. Widzisz! Od dawna spokojnie sypiać nie mogę!

Leonia. Z mej przyczyny — mamo?

Pani Mühlingk. Twoje codzienne dziwactwa! Ten brak taktu! Bo i cóż to na przykład ma znaczyć? — wybierać najładniejsze okazy z cieplarni na bukiet dla jakiegoś tam powracającego komisanta.

Leonia. Mówisz, mamo, o Robercie?

Pani Mühlingk. Mówię o młodym panu Heinecke.

Leonia. Ależ on nie jest komisantem. — Należy prawie do rodziny.

Kurt. O — wypraszam sobie!

Pani Mühlingk łagodnie. To znaczy, że wyciągnęliśmy go z błota.

SCENA II.

Ciż. Wilhelm.

Radca. Czego?

Wilhelm. Młody pan Heinecke z oficyny kazał powiedzieć, że o drugiej będzie miał zaszczyt...

Leonia robi mimowolny ruch i spogląda na zegar.

Radca. Patrzcie — jaki pan!... Dobrze.

Wilhelm. Przepraszam jaśnie pana — mówił jeszcze o jednym panu, z którym ma przyjść, — hrabia Trast — czy coś takiego —

Radca zrywając się. Jakto? Hrabia Trast? Kurt, słyszysz? — Trast i spółka! Król wielkich obszarów kawowych! Daje znak — służący odchodzi.

Kurt. Jakie ten kupczyk ma szczęście!

Radca. Amalio, trzeba hrabiego zaprosić!

Pani Mühlingk. Dobrze — jutro na obiad.

Leonia. Jakto, a Roberta Heinecke?

Kurt n. s. Coraz lepiej.

Radca. Hm! Właściwie masz słuszność. — Jeżeli się czasem zniżamy do tego rodzaju ludzi, przywiązujemy ich moralnie do interesów firmy. — To nieraz przynosi tysiące, mój synu...

Ten młody człowiek wyrobił się wcale ładnie pod kierownictwem Benna, a ponieważ na dalsze dziesięć lat mam zamiar wysłać go na Antyle...

Leonia wzburzona. Ależ papo, ja nie o tem myślałam.

Radca. Nie szkodzi, moje dziecko.

Pani Mühlingk. A ty, mój synu, uważaj, aby ten młody człowiek nie pepełnił jakiego faux pas. Pochodzi z oficyn — to zaraz odbija. —

Kurt wstając. Pardon! Życzycie sobie niezawodnie, abym i moich przyjaciół zaprosił?

Radca. Rozumie się. Młodzi ludzie zawsze czas mają.

Kurt. A więc proszę mnie zwolnić od tego. Nie mogę młodych ludzi z dobrych rodzin zapraszać do towarzystwa ze synem wskazuje poza siebie pana Heineckego.

Leonia po cichu do niego. Czy nie należałoby się właściwie więcej względów dla brata panny Almy?

Kurt zastraszony, opanowuje się. Jak to rozumiesz?

Leonia. Bądź szczęśliwy, że ci oszczędzam odpowiedzi.

Kurt. Proszę!

Leonia. Więc żądasz?

Kurt. Czy to ma być groźba?

Radca. Moje dzieci, w domu naszym sceny takie miejsca mieć nie powinny.

Pani Mühlingk. Teodorze, myśmy nic nie słyszeli. Idę do siebie. Może i ty spoczniesz?

Radca całuje ją ceremonialnie w czoło.

Kurt n. s. Poczciwe, stare czasy! Głośno. Całuję rączki. Pani Mühlingk odchodzi ku głębi. Radca dzwoni.

Leonia spiesząc za panią Mühlingk. Mamo!

Pani Mühlingk odwracając się, z nerwową uprzejmością. Dobrze już, dobrze! Odchodzi.

Wilhelm wchodzi.

Radca. Anonsuj tych panów do mojego gabinetu. Odchodzi.

Służący odchodzi.

SCENA III.

Kurt. Leonia.

Kurt chce również odejść.

Leonia. Kurt, zdaje mi się, że mamy ze sobą do pomówienia.

Kurt. My?... E? Nie.

Leonia. Nie masz ochoty pociągnąć mnie do odpowiedzialności?

Kurt. Jak widzę, nie podoba ci się wcale mój szerszy sposób życia... Dlatego, że jesteś o cztery lata starsza i niegdyś mnie chodzić uczyłaś, chciałabyś mnie ciągle na pasku wodzić. Ale — na szczęście chodzić już umiem... Są panie, których zdaniem idę nawet za daleko... Proszę cię, pozwól mi używać szczęścia według własnego upodobania.

Leonia. Nigdy nie robiłam ci wyrzutów. Używaj

świata ile tylko ci się podoba; ale miej odwagę, przyznać się do tego.

Kurt. Oho — wielkie rzeczy!

Leonia. Grasz rolę posłusznego syna, aby za plecami rodziców ich wyśmiewać! — Wierzaj mi, bracie, w ten sposób stracisz charakter.

Kurt wesoło. Czy być może?

Leonia. O jedno cię tylko błagam: uszanuj przynajmniej ten dom i... jego otoczenie...

Kurt. Aha, więc o to się rozchodzi!

Leonia. A wiesz ty, o czem tu sobie szepczą rozprawiają po dziedzińcach i warsztatach? Oto, że siostrę Roberta Heineckego zaszczycasz swymi względami — że...

Kurt wzruszając ramionami. Ha, mój Boże, jeśli się zajmujesz plotkami służby!

Leonia. Słuchaj — nie znoszę tego tonu! Oszczędzałam cię dzisiaj przed rodzicami. Na przyszły raz tego nie uczynię.. A przedewszystkiem wiedz, że Robert powrócił.. Gdyby spostrzegł, że jego siostra zawiniła... Uspokój się, nie lękam się tego... nie miałabym odwagi się lękać... Ale to próżna i lekkomyślna dziewczyna... Gdyby tak było... I to z twojej winy! Bracie, miej się na baczności! On cię zdruzgocze!

Kurt. Kto? Mój subjekt? — Chyba kuferkiem z próbkami.

Leonia. Ah!... A jednak zapominasz o tem, że właśnie swojego subjekta okradasz?

Kurt. Co za wyrażenia? Okradam — i z czego?

Leonia. Ze stanowiska społecznego! Z uczciwego nazwiska!

Kurt. Z nazwiska Heinecke! Hahaha!

Wilhelm przynosi dwa bilety wizytowe, które podaje Leonii.

Leonia. To twoi goście!

Kurt. Kto taki?

Leonia. Czytaj.

Kurt. Lotar Brandt... Hugo Stengel... Prosić, prosić! Rzuca bilety na stolik po prawej. Służący odchodzi.

Leonia siada w krześle biegunowem.

Kurt. Dziwy i cuda! Nie uciekasz dzisiaj przed nimi.

SCENA IV.

Ciż. Hugo Stengel, Lotar Brandt.

Lotar. Dzień dobry, mój chłopcze!

Kurt idąc na ich spotkanie. Przychodzicie obejrzeć mojego rumaka. To ładnie.

Hugo składając ukłon Leoni. Pozwoliliśmy sobie...

Lotar również się kłaniając. Jeżeli pani nie przeszkadzamy.

Leonia uprzejmie. O, proszę. — Interesuję się bardzo mało stajniami. Hugo i Lotar krząkają.

Kurt. Siadajcie, proszę...

Lotar. Oczekujemy pozwolenia łaskawej pani.

Leonia chłodno. Proszę! Bierze książkę i przerzuca ją. Kurt rzuca na nią niechętne spojrzenie. Siadają.

Kurt. Gdzieżeście byli wczoraj?

Lotar pozując. Wczoraj?... Ach, zawiele wymagasz od mojej pamięci. — Zaraz, zaraz — cóż to właściwie było wczoraj? Aha! — Najpierw byłem w tattersalu, potem miałem konferencyę z papą. — Kawa znowu spada.

Hugo. I to w zatrważający sposób... Pięćdziesiąt trzy i pół. —

Lotar. „Zatrważająco“ — niewłaściwie się wyrażasz, drogi Hugonie. Spada — to trudno, będziemy walczyć! — Potem odbyłem kilka wizyt i zjadłem obiad w klubie wojskowym.

Leonia spoglądając na niego. A — jesteś pan oficerem?

Lotar obrażony. Sądziłem, że pani wiesz o tem. — Jestem podporucznikiem rezerwy w pułku kirasyerów imienia następcy tronu.

Leonia z uśmiechem, spoglądając na stół. Ach, prawda — nie brak tego na pańskim bilecie.

Kurt klepiąc go po ramieniu. Prócz tego dosiada dumnie krzesła w kantorze papy.

Lotar urażony. O, proszę!

Leonia. Panie podporuczniku — wszak to nie najgorszy wierzchowiec w pogoni za szczęściem.

Hugo. Wybornie! Wspaniale!

Kurt. Szukałem was wczoraj wieczorem.

Lotar. Wieczorem? — Ach, byłem gdzieś za-

proszony. — Ale gdzie? — doprawdy nie pamiętam. Nie mówmy o tem. Pani raczysz się uśmiechać?

Leonia. Jakżebym śmiała?

Lotar. Ach, bo pani odosobniona od świata, nie może sobie wyobrazić, jakie znaczenie ma dla nas wyraz: „sezon“.

Hugo. Da pani wiarę — dwa miesiące upłynęły, odkąd po raz ostatni prawdziwie spałem.

Kurt. I to, — na bilardzie.

Lotar. Nie, łaskawa pani — nasz szanowny Kurt żartuje. Gdybyś pani jednak wiedziała, co znaczy być męczennikiem rozrywek — zrozumiałabyś nas zapewne.

Leonia. Staram się tak dalece panów zrozumieć, że zaczynam ich żałować.

Hugo cicho do Lotara. Kpi z nas ta dziewczyna.

Lotar ciszej, z arogancyą. Każdy stara się być zalotnym na swój sposób.

Kurt podszedł do Leoni, cicho. Mogłabyś być grzeczniejszą.

Leonia kołysząc się na krześle. Co mówisz? Czyta dalej.

Lotar. Czy wolno zapytać, co uwagę łaskawej pani zajęło?

Kurt d. s. Ach, dałby jej raz spokój!

Leonia. Coś, co męczenników rozrywek mało może obchodzić, gdyż obraca się około męczenników — pracy.

Lotar. Ach, tak!

Hugo zrywając się. A możeby konia obejrzeć?

Lotar. I owszem. Idźcie naprzód. — Męczennicy pracy obchodzą mnie daleko więcej, niż łaskawa pani przypuszcza.

Kurt n. s. Nieszczęsny!

Hugo. Pani... —

Kurt wypychając go z lekka. Chodź, chłopcze, chodź! Obydwaj odchodzą.

SCENA V.

Lotar, Leonia.

Leonia spogląda na zegar, niecierpliwie. Jakiem wyjaśnieniem mogę panu służyć, panie Brandt?

Lotar. Łaskawa pani, z boleścią uważam, jak mnie pani lekceważysz, bo choć wartość moja jest skromna...

Leonia. I, aby mię o tem przekonać, zaniedbujesz pan...

Lotar. Jeszcze chwilkę... proszę...

Leonia n. s. Oświadczy się.

Lotar. Błędów zapewne mam wiele, ale, łaskawa pani, jestem człowiekiem honoru.

Leonia. Zdaje mi się, panie Brandt, że to nie dziwne u człowieka z dobrej rodziny. — I nie jestto — równie — jak strój wytworny — bynajmniej zasługą!

Lotar. Tak więc nizko cenisz pani...

Leonia. Przepraszam pana. — Ja nie gardzę

nawet ludźmi źle ubranymi, jakkolwiek do salonu ich nie wpuszczają. Przerwałam panu jednak. Może rzeczywiście źle pana sądzę. Proszę — mów pan dalej.

Lotar. Przyznaję ze wstydem, łaskawa pani, żeś mi odebrała otuchę. To bardzo wiele! Bo i cóż znaczy mężczyzna bez odwagi?

Leonia. O — w tem już coś więcej. — Dla odwagi mam wiele szacunku. W czemże dotychczas objawiła się pańska odwaga?

Lotar. Spytaj pani o to moich przyjaciół. Co do odwagi mojej, niema wątpliwości.

Leonia. Chcesz pan przez to powiedzieć, żeś się pojedynkował.

Lotar. Nie mówi się o tem w towarzystwie kobiet. —

Leonia. A jednak zawsze się o tem dowiadujemy. Wszakże zadaniem naszem uwieńczać laurem zwycięzcę. A byłeś pan kiedy zmuszony, kruszyć kopie w obronie spotwarzonej zasady, którą jednak w głębi ducha uznawałeś?

Lotar oburzony. Jak pani możesz coś podobnego przypuścić? Takich zasad nie posiadam!

Leonia. Lub zniosłeś może w milczeniu niegodne podejrzenie?

Lotar. Ja? W milczeniu?.... Przciwnie!

Leonia. Nigdy?

Lotar. Nigdy, łaskawa pani.

Leonia. W takim razie nie mamy pewnego

świadectwa pańskiej odwagi, panie... jeśli wolno — podporuczniku? — Wystaw ją pan wpierw na próbę, potem o niej pomówimy. Wstaje.

Lotar chce ją powstrzymać. Łaskawa pani —

SCENA VI.

Ciż. Robert, Wilhelm, Trast.

Wilhelm jeszcze za drzwiami. Może panowie raczą zatrzymać się w salonie.

Leonia. Ach! Nareszcie! Spieszy do Roberta z wyciągniętemi rękoma.

Trast n. s. Aha! Tak sprawy stoją! Do służącego, który chce wyjść tylnemi drzwiami na prawo. Zaczekajno Wyjmuje mu z ręki jeden z biletów i chowa do kieszeni.

Lotar patrząc na Roberta i Leonię. Cóż to znaczy?

Trast. Mój bilet wystarczy! Allons! Służący odchodzi.

Robert. Leonio, przyprowadzam pani hrabiego Trasta, mojego dobroczyńcę i najlepszego przyjaciela.

Leonia przypominając sobie. A — panowie pozwolą sobie przedstawić: pan Lotar Brandt... pan hrabia Trast... Pan Robert Heinecke, towarzysz mojej młodości. Wzajemne ukłony.

Lotar d. s. Przedstawia mnie bratu Almy — — a to wyborne! Głośno. Państwo wybaczą, ale moi — przyjaciele — zacina się i jąka.

Trast. Oczekują pana — nieprawdaż?

Lotar wyprostowany mierzy go wzrokiem. Tak, mój panie. Odchodząc. Cóż to za gatunek hrabiego? We drzwiach jeszcze się odwraca, składa ukłon z pewnym szykiem wojskowym i odchodzi.

SCENA VII.

Leonia, Robert, Trast.

Leonia wskazując krzesła. Jak dawno nie byłeś pan w kraju, panie hrabio?

Trast. Ćwierć wieku przesiedziałem na wschodzie.

Leonia. Dla własnej przyjemności?

Trast. O ile się dało, to i dla przyjemności. Obok tego jednak prowadzę interesa kawą, korzeniami i kością słoniową, poluję na słonie a w potrzebie sam jestem słoniem.

Leonia śmiejąc się. W jakiej więc roli mam pana powitać wobec tej ogromnej wielostronności?

Trast. Tobie samej, łaskawa pani, zostawiam wybór.

Wilhelm wracając. Pan radca prosi. Wszyscy wstają.

Robert. Teraz muszę...

Trast. Musisz tu pozostać. Chcę naprzód sam z twoim szefem pomówić. Cicho. Bez oporu. Jakże mi mogłeś o niej zamilczeć? Głośno. Przez dziesięć lat z rzędu głosił mi na wszystkie tony pochwały na cześć pani. Czy nie słuszna, że teraz ja panią skażę na wysłuchanie o mnie przez dziesięć minut czegoś dobrego?

Leonia grożąc mu palcem. Łotrzyk z pana!

Trast. Do usług pani miło być łotrzykiem. Odchodzi.

SCENA VIII.

Leonia, Robert.

Leonia chwytając go za ręce. Robercie, nareszcie mam cię znowu!

Robert. Leonio, z głę i serca dziękuję pani za każde dobre słowo.

Leonia. O Boże, jakże to uroczyście.—Wszak moje dobre słowa nie są jałmużną. Pójdź pan bliżej! Prowadzi go do kominka. Siadaj pan — tu ciepło... Naprzeciw mnie. Marzniesz pan niezawodnie w naszym zimnym kraju! — Zaczekaj, rozdmucham ogień. Rozdmuchuje mieszkiem ogień w kominku. Zaprowadzono teraz wszędzie kominki... Bardzo to niepraktyczne, ale przynajmniej miło przy nich pogadać... W Indyach nie trzeba kominków, nieprawdaż? Do siebie. Boże, co za szczęście! Głośno. Jakże się cieszę, Robercie! A teraz, kiedy to wiesz, wyjeżdżaj pan ze swojem „ale“, które masz na języku — jestem gotowa do obrony.

Robert. Leonio, nie rań pani mego serca.

Leonia. Broń Boże!

Robert. Przemawiając do mnie przywołujesz pani przed moje zmysły obraz szczęścia, które już na zawsze pogrzebałem.

Leonia. O, jeżeliś się pan tylko nie zmienił!..

Robert. Nie zmieniłem się — Bóg mi świadkiem... ale cóż to pomoże!... — Przepaście nas dzielą.

Leonia tracąc odwagę. Ha — w takim razie!

Robert. Mój Boże, chciej mnie pani dobrze zrozumieć. Mnie nie wolno wypowiadać wszystkiego, co mam na sercu... Pamiętasz pani jeszcze, coś mi szepnęła na ucho przy rozstaniu?

Leonia. Cóż takiego?

Robert. „Zachowaj dla mnie życzliwość" — powiedziałaś pani wówczas.

Leonia. Czy tak powiedziałam? Dosłownie taksamo?

Robert. Tego się nie zapomina, panno Leonio.

Leonia. Dosłownie taksamo? A przecież zabroniono nam mówić do siebie po imieniu?

Robert. Pani jednak nie słuchałaś zakazu.

Leonia. A dlaczegoż teraz mamy go słuchać?

Robert. Leonio, żartujesz pani ze mnie.

Leonia. Słusznie, mój przyjacielu. To nie uchodzi. Zakrawa to na kokieteryę — a jest tylko radością z pańskiego powrotu. — Ale aż nadto wyraźnie dajesz mi pan do zrozumienia, że nasze sny dziecięce już minęły.

Robert. Tak być musi. Ojciec pani w porywie szlachetności wyciągnął mnie z głębokiego pogrążenia. — Wszystko, co dziś myślę i czuję, jemu zawdzięczam. Skutkiem tego straciłem prawo

stanowienia o swoim losie. Jestem niejako sługą tego domu.. Nie mam prawa zbliżać się do córki mego pana.. pod żadnym pozorem...

Leonia. Własna pańska duma kłam panu zadaje.

Robert. Być może, że duma właśnie nakłada mi to jarzmo.

Leonia. I ani odrobiny nie chcesz mi z niej poświęcić?

Robert. Nie dręcz mnie pani. Wszak nie o to tylko chodzi. Zastanów się pani nademną. W tej chwili dopiero, siedząc przy pani, zaczynam odczuwać dźwięk nuty rodzinnej. Byłbym jednak nędznym egoistą, gdybym temu tylko uczuciu oddany zapomniał, że tam w podwórzu mieszka moja rodzina... ojciec — matka — siostra... A ta rodzina... Ach! panno Leonio, tam w oficynach inne stosunki, niż sobie w dobroci swej wyobrazić możesz.

Leonia. Drogi przyjacielu, nie potrzeba jeździć do Indyi, aby się wśród swoich czuć obcym.

Robert. Leonio, jakto, ...i pani?

Leonia. Nie mówmy lepiej o tem. Wstydzę się przed panem! Natura moja bardziej się buntuje. Poczucie obowiązku mnie opuściło. Z zaciętym jakimś uporem, z dumą prawie, choć dumną nigdy nie byłam — staję do walki z rodziną i całem otoczeniem! Powiedz mi pan, co we mnie...

Robert. Ciszej! Radca i Trast wchodzą głębią z prawej.

SCENA IX.

Ciż. Radca. Trast.

Radca żegnając się z Trastem. Więc do jutra, panie hrabio, do obiadu. — A, jest tu nasz młodzieniec. Witam cię, witam, Robercie! Podaje mu rękę. Chcesz mi pan zaraz zdawać rachunki?

Robert. Panie radco, przyszedłem tylko złożyć moje uszanowanie; papierów jeszcze nie rozpakowałem.

Radca. Nic pilnego! A ty, córko, co tu robisz?

Leonia. Naturalnie — chciałam przywitać Roberta.

Radca. Hm — Wiesz przecie, że mama pytała się o ciebie. Proszę pana do siebie, chcę wiele z panem pomówić, plany, plany, mój drogi! Panie hrabio, wiadomo ci, że nie mamy przed panem tajemnic.

Trast. Poznasz go pan lepiej w cztery oczy!— Oczekuję cię tutaj. —

Leonia. Do widzenia, Robercie. Podaje mu rękę.

Radca karcącym tonem. Hm! Radca i Robert odchodzą.

SCENA X.

Leonia, Trast.

Leonia. Panie hrabio — wszak słyszałeś — mam odejść!

Trast. Łaskawa pani! Leonia idzie ku drzwiom, Trast patrzy za nią; kiedy jeszcze raz się odwraca, grozi jej palcem śmiejąc się.

Leonia zdziwiona. Co to znaczy, panie hrabio?

Trast. Hm. Właściwie znaczy to — klaszcze w ręce.

Leonia. A cóż to znaczy?

Trast. To znaczy: przyłożywszy rękę do ust. brawo!

Leonia surowo. Nie rozumiem pana, panie hrabio. — Ach! Wybucha śmiechem, wraca się rezolutnie i wyciąga do niego rękę. Rozumiem — rozumiem pana!

Trast obiema rękami jej dłoń ściskając. Doskonale!

Leonia znowu ceremonialnie. Panie hrabio!

Trast. Pani!... Leonia odchodzi. Ależ to zachwycająca dziewczyna. Jakże jej pragnę dla tego chłopca. Muszę mu ją wywalczyć.

SCENA XI.

Kurt, Lotar, Hugo, Trast w głębi z lewej.

Kurt do Hugona. Chodź, paniczu!... odważnie!...

Trast poznając go. To on!

Kurt poznaje go również, miesza się, podchodzi do niego, przytłumionym głosem. Pan mnie szukasz!

Trast. Nie — cieszę się jednak, że pana znalazłem.

Kurt. Z kim mam zaszczyt?

Trast. Hrabia Trast.

Kurt zmieszany, bardzo grzecznie. Ach! — Pańską wizytę zawdzięczamy naszemu panu — zapewne znajomość w podróży — nasz komisant...

Trast. Czy mam przyjemność ze synem tego domu?

Kurt. Pardon. Do usług... naturalnie. — Nie wątpię, panie hrabio, że jako ludzie światowi, zajście z wczorajszej maskarady puszczamy w niepamięć?

Trast. Sądzisz pan?...

Kurt. Dziewczyna może się spodobać, wiem o tem dobrze. Czołem przed pańskim gustem, panie hrabio. Przyznajesz pan jednak, że słuszność była po mojej stronie. Spodziewam się, że nie będziemy z sobą rywalizować.

Trast. Tem bardziej, że brat tej dziewczyny jest moim najlepszym przyjacielem.

Kurt *przerażony, opanowuje się, po chwili milczenia.* Co pan zamierzasz uczynić?

Trast. W tej chwili jeszcze nie wiem. Jeśli mi się jednak uda nakłonić Roberta do wyzwolenia się z rzekomych zobowiązań względem tego domu, a pan natychmiast zerwiesz stosunek z jego siostrą, może będę milczał. —

Kurt. W przeciwnym razie?

Trast. Będzie to rzeczą pana Heineckego.

Kurt. I pan przypuszczasz, że ja się będę bił z moim komisantem?

Trast. Z komi... — co? — Ach, tak!

Kurt. Panie hrabio, możesz pan robić, co ci się podoba.

Trast. Przywykłem do tego. Pan Heinecke

rozmawia w tej chwili z pańskim ojcem... Pozwól mi pan jeszcze przez kilka minut tu pozostać, aby skrócić spotkanie się panów. Nie chciałbym dopuścić, abyście sobie panowie ręce podali.

Kurt. Panie hrabio, proszę uważać ten salon za własny.

Trast. Dziękuję panu. Rozchodzą się — Trast odwraca się i ogląda obrazy na ścianie.

Kurt wzburzony idzie w głąb.

Lotar do Hugona. Cóż tam między nimi zaszło? O ile sobie przypominam, w pułku naszym służył jakiś hrabia Trast, który — źle zakończył. — Pomówię z tym panem.

Hugo bojaźliwie. Chciałbyś go zaczepić?

Lotar. Czemu nie? Ten człowiek mnie intryguje. Podchodząc ku Trastowi. Pan hrabia lubi samotność?

Trast odwracając się. Nie inaczej.

Lotar. Ależ to nas obraża.

Trast patrzy nań zdziwiony. Ach! Pragniesz pan tedy końcem szpady bronić swego honoru, panie... panie... przepraszam...

Lotar. Nazwisko moje Lotar Brandt. Trzeba panu wiedzieć, że jestem podporucznikiem rezerwy w pułku kirasyerów imienia następcy tronu.

Trast z uprzedzającą grzecznością. Niczem więcej?

Lotar z groźbą. Niczem więcej — panie hrabio?!

Trast. Przepraszam. Rezerwa jest pod bronią

tylko w czasie wojny. Jadąc tutaj spodziewałem się pokoju.

Lotar. Mylisz się, panie hrabio, rezerwa służy również w czasie ćwiczeń wojskowych.

Trast. Jestem więc panu potrzebny do ćwiczeń?

Lotar. Pozwolisz mi pan, przedewszystkiem zadać sobie jedno pytanie.

Trast. Z przyjemnością.

Lotar. W pułku, w którym mam zaszczyt służyć, służył przed laty młody oficer pańskiego nazwiska.

Trast. Tak? Oficerem tym prawdopodobnie ja sam byłem.

Lotar ostro. Tego oficera po prostu odprawiono.

Trast. Owszem, zgadza się! Zawsze uprzejmie. A jeżeli mi pan przez to chcesz dać do zrozumienia, że mi się na ulicy nie ukłonisz — zrzekam się pańskiego ukłonu... Obejdę się bez niego! Kłania się i bierze do ręki teczkę, którą przegląda.

Hugo z zapałem. To mi odprawa! Z takim szykiem nikt mnie jeszcze nie odprawił! Podchodzi do Trasta, z głębokim ukłonem. Pan pozwoli się przedstawić — nazwisko moje Stengel.

Trast odwracając się. Do usług.

Hugo. Stengel!

Trast grzecznie się odkłania — rozmawiają.

Kurt, który wśród tego poszedł ku przodowi sceny, cicho do Lotara. Człowieku, co robisz?... To wszech-

potężna firma Trast i spółka... Chcesz zrujnować interes swego ojca?

Lotar zmieszany. Czemużeś mi pierwej o tem nie powiedział?

Kurt. W każdym razie należy sprawę natychmiast naprawić.

Lotar. Jeżeli tylko znajdziesz odpowiednią formę!

Kurt. Pan daruje, panie hrabio — przyjaciel mój żałuje... —

Lotar głośno. Żałuje — źle wyrażasz, mój drogi.

Kurt jąkając się. To jest... on — on...

Trast. Może przyjaciel pański pragnie małą dyskusyę naszą uważać za niebyłą?

Lotar. Z przyjemnością przystajemy na to, drogi Kurcie.

Trast. Pragnąc panom we wspaniałomyślności dotrzymać kroku — objawiam również to życzenie.

Kurt. Całe więc zajście załatwione.

Lotar. Pozwolę sobie wyrazić moją prawdziwą radość z poznania męża, którego działalność od tylu lat podziwiam.

Trast bardzo uprzejmie. Okazuje się więc, panie podporuczniku, że zapytanie moje „czem więcej?“ nie było zbytecznem. W sferze mieszczańskiej łatwiej nam się porozumieć. Moi panowie, pan Brandt junior, przyszły dziedzic znakomitej firmy

towarów kolonialnych Brandt i Stengel — z którą mam zaszczyt pozostawać w stosunkach handlowych — wszczął ze mną prywatnie dyskusyę na temat „honoru“. Pozwólcie, panowie, że mu w tej materyi odpowiem publicznie. Siadają z prawej. Otóż mówiąc otwarcie: honoru niema wcale! zdumienie. Nie przerażajcie się, panowie. Przeprowadzenie dowodu nie będzie bolesne.

Lotar. A to, co my honorem nazywamy?

Trast. To, co pospolicie nazywamy honorem, jest to po prostu tylko cień, który rzucamy, kiedy słońce publicznej opinii nas oświeca. Co gorsza — rozróżniamy tyle rodzajów honoru, ile klas towarzystkich i warstw społeczeństwa. I jak się tu oryentować?

Lotar z naciskiem. Mylisz się, panie hrabio. Istnieje tylko jeden honor, jak jedno słońce i jeden Bóg na niebie. I albo to czuję — albo nie jestem człowiekiem honorowym.

Trast. Hm! — Pozwólcie, panowie, opowiedzieć sobie krótkie zdarzenie. W podróży po Azyi środkowej przybyłem pewnego razu do jednego z władców tybetańskich. Byłem zmęczony i okryty kurzem. Gospodarz przyjął mnie siedząc na tronie. Obok siedziała młoda urocza jego małżonka. Wypocznij, cudzoziemcze — rzekł do mnie — żona moja przygotuje ci kąpiel a następnie my mężczyźni zasiądziemy do stołu. —

I oddał mnie w ręce swej młodej małżonki... Moi panowie, jeżeli kiedykolwiek w życiu doświadczałem swej siły panowania nad sobą, to przedewszystkiem w tej godzinie. — A wróciwszy do sali wiecie — co zastałem? Cała czeladź pod bronią, groźne okrzyki i dobyte miecze. Musisz zginąć — odezwał się do mnie mój gospodarz — zraniłeś śmiertelnie honor mojego domu, bo wzgardziłeś tem, co ci najdroższego ofiarowałem. Widzicie panowie, że jeszcze żyję, bo w końcu uniewinniono mnie wadliwemi pojęciami honoru europejskich barbarzyńców. Śmieją się wszyscy. Jeżeli panowie spotkacie którego z naszych nowoczesnych autorów zajmujących się kwestyą wiarołomstwa, kłaniajcie się odemnie i podarujcie mu w mem imieniu ten konflikt. Wszyscy się śmieją i przechodzą powoli na lewo. Moi panowie, nie pragnę uchodzić za gorszyciela. Badanie zagadek obyczajowych, jako takich, jest rzeczą przyzwoitą... Widzicie więc, panowie — w istocie tak zwanego honoru leży i to, że posiada go tylko mała garstka półbogów. Jako uczucie zbytkowne traci ono o tyle na wartości, o ile tłum ośmiela się je sobie przywłaszczyć.

Kurt. Panie hrabio — to paradoks. Wszakże każdemu wolno być człowiekiem honoru?

Trast. Bynajmniej. W takim razie pierwszy lepszy biedak z oficyn przywłaszczy sobie prawa honoru. Kurt się miesza.

Lotar. Skoro tylko tych praw przestrzega — jest człowiekiem honoru.

Trast. Hm? Czy tak? Pozwólcie, panowie, opowiedzieć sobie drugie, jeszcze krótsze zdarzenie?... Lękam się tylko, czy panów nie nudzę.

Lotar i Hugo śmiejąc się. Ależ bynajmniej. —

Trast. Rzecz dzieje się gdzieś w Ameryce południowej, — gdzie arystokracyę tworzą Hiszpanie — a motłoch to mieszanina z murzynów, Indyan i najrozmaitszej białej hołoty. Potomek tej nieczystej rasy... nazwisko jego... hm... Pepe... miał sposobność dostać się do Hiszpanii i robi ruch, jakgdyby coś zdmuchiwał z lewego rękawa zetknąć się tam z prawdziwie kastylijskiem poczuciem honoru.

SCENA XII.

Ciż. Robert.

Robert wychodzi niepostrzeżony z gabinetu radcy i słucha uważnie.

Trast. Kiedy po latach wrócił do kraju, zastaje dorastającą swą siostrę w ścisłym stosunku z młodym arystokratą... Nie oburzajmy się, panowie. Już pochodzeniem swojem młoda dziewczyna była na to przeznaczona. Ale młody jej brat śmie pociągnąć kochanka do odpowiedzialności, zapominając, że matka wydała go na świat metysem, a nie hidalgiem.

Kurt cicho. Uważaj, to do mnie! —

Trast. Widzicie, moi panowie, że to było szaleństwo i jako szaleńca wyrzucono go za drzwi. Wtedy prawdziwa natura chłopca bierze górę. Jak kot zaczaja się na młodego szlachcica i dusi go. — Skazują go na śmierć a ten głupiec — Pepe, tak się nazywał — jeszcze pod szubienicą oświadcza, że ginie w obronie honoru. Moi panowie, czy to poprostu nie śmieszne?

Robert. Mylisz się, mój przyjacielu. Ten głupiec miał słuszność. Ja sam nie postąpiłbym inaczej.

Wszyscy powstają.

Trast. Ach, to ty! Podchodzi szybko ku niemu. Nie znasz tu nikogo. Nie oglądaj się i chodź ze mną. Pcha go ku drzwiom.

Robert ciszej. Czy to nie Kurt — tam?

Trast. To sami obcy. Chodź! Głośno. Panowie wybaczą — nam spieszno — do widzenia.

Lotar do Kurta. Teraz go złapię! Głośno. Panie hrabio, jeszcze jedno pytanie... Z przekąsem. Jeżeli pan raczysz honor ze świata usunąć, czemże w takim razie ludzie honorowi mają go zastąpić?

Trast z godnością. Obowiązkami, młodzieńcze! — Lekko. Prawda, że to nie bardzo wygodnie... Panowie...

Kurt. Był to prawdziwy zaszczyt dla nas.. panie hrabio...

Robert. Przepraszam! — Czy mam przyjemność z panem Kurtem Mühlinkgiem?

Kurt. Tak, panie.

Robert zmieszany. Jakto — i...? Ach, zapomniałem, że mnie pan mogłeś nie poznać... Jestem... chce z wyciągniętą ręką podejść do niego.

Trast stając miedzy nimi. Nie podasz ręki temu panu.

Robert błędnym wzrokiem się rozgląda, wpatruje się w Kurta, potem w Trasta, potem znowu w Kurta, wydaje okrzyk, starając się nad sobą zapanować. Panie Mühlingk — proszę pana o chwilę rozmowy — w cztery oczy.

Kurt. Jak pan widzisz, mam gości. Za godzinę mogę panu służyć.

Robert. Za godzinę zatem, panie Mühlingk!

Trast do siebie. Szybko się zoryentował!

Trast i Robert wychodzą.

Zasłona spada.

AKT III.

Scena jak w akcie I. — Na stole świeci się lampa. Przez okna wpada światło dzienne. W głębi po lewej łóżko pościelone, ale nie tknięte. Obok wielki kufer.

SCENA I.

Robert siedzi przy stole z głową podpartą. Potem **Pani Heinecke** w czepku i wełnianej spódnicy.

Pani Heinecke. Dzień dobry, mój synu. Robert nie odpowiada. Na miłość Boga, on się wcale nie kładł! Podchodzi do niego, przecierając oczy. Robertku!

Robert z przestrachem. Co takiego? — Czego chcecie?

Pani Heinecke. Jezusie drogi, czegóż ty się tak drzesz na mnie! Aż ci zęby kłapią od zimna! Napijesz się kawy? Robert gwałtownie odmawia. Robertku, przyjmij od starej matki jedną naukę: choćbyś miał największe zmartwienie — spać trzeba, bo to wzmacnia siły! Gasi lampę.

Robert. Matko, matko, coście wy zrobili?

Pani Heinecke łkając. Ależ to nie nasza wina, mój synu!

Robert. Nie wasza wina! matko!

Pani Heinecke. Wychowałam ją uczciwie. W tym domu nie widziała złego przykładu. — Posyłałam ją do szkoły a nawet dałam ją bierzmować, chociaż to niekonieczne... Stanęła przed ołtarzem w nowej czarnej rypsowej sukience. Kupiłam ją na taniej wysprzedaży i dałam jej do ręki własną chusteczkę od nosa, którą miałam do ślubu, a pan pastor mówił tak wzruszająco, tak wzruszająco...

Robert. Ale w jaki sposób mogła mama ścierpieć jej stosunek z tym... z tym człowiekiem?

Pani Heinecke. Może tam jeszcze nic złego nie było?

Robert. Jakichże wam trzeba dowodów?... Czy mi nie wyznał sam wszystkiego z całą brutalnością? A czy Alma przynajmniej starała się wypierać? W dodatku byłem sam wczoraj wieczorem u Michalskich. — Wszystko tam było znakomicie ułożone! Twoja ukochana córka Gu-

sta urządziła im wygodne gniazdeczko z dywanami, portyerami i czerwoną ampułką — ona sama, twoja córka, stała na straży pod drzwiami i za to jej — płacili — hahaha!... Ten nędznik był wczoraj w moich rękach!... O, gdyby nie wzgląd na...

Pani Heinecke. Ależ Robercie!

Robert. Uspokój się, matko — przyrzekł mi satysfakcyę. Tyle przynajmniej uzyskałem! Widział, że się na wszystko odważę. — Wówczas przysiągł, że do dnia dzisiejszego wyszuka środki i drogę, na której mi da zadośćuczynienie. Wy sami będziecie zadowoleni. Pomyślałem nad przyszłością tej nieszczęśliwej istoty i puściłem go wolno.

Pani Heinecke. No, ja nie myślałam, że w tem jest co złego.

Robert. Należało się tego spodziewać. I cóżeś myślała, kiedy ją późną nocą do domu odprowadzał?

Pani Heinecke. Mój Boże, jak się śpi, to człowiek szczęśliwy, że o niczem myśleć nie potrzebuje. Zresztą Alma miała zawsze klucz ze sobą.

Robert. I nie przyszło ci nawet na myśl, że musiała się z nim gdzieś w mieście spotkać, skoro przy jego boku wracała?

Pani Heinecke. No tak. — Myślałam sobie, że akurat z nim wraca.

Robert. Nie rozumiem cię, matko.

Pani Heinecke. No, że z nim wraca.

Robert. Słyszałem... ale...

Pani Heinecke. Jak nieraz młoda dziewczyna chodzi z młodym mężczyzną.

Robert. Chodzi? Dokąd?

Pani Heinecke. Na koncert albo do piwiarni — a jak starczy pieniędzy, to i do teatru a w lecie za miasto.

Robert. Sama?

Pani Heinecke. Sama?! Mlaszcze językiem. Ależ nie — z młodym człowiekiem! —

Robert. To jest, chciałem powiedzieć bez rodziców?

Pani Heinecke. Naturalnie! Jakżebyś śmiał wymagać od starej matki, aby swoje słabe kości za tymi młodzikami wlokła?

Robert. Hm! jednak wiedziałaś, matko, że ona z nim... chodzi?

Pani Heinecke. Nie, tylko sobie tak myślałam.

Robert. A skoro się pytałaś?...

Pani Heinecke. Na co się tu pytać? To niepotrzebna gadanina. Dziewczyna sama musi wiedzieć, co robi.

Robert. Tak, tak!

Pani Heinecke. Ale, żeby ona... któżby się tego spodziewał! O, Jezu — czegóż się tak trzęsiesz! — Ja ci tu zaraz w piecu napalę. Idzie w głąb do pieca.

Robert do siebie. Bez wyjścia, bez ratunku! Hańba — na całe życie hańba!

Pani Heinecke do kuchni. Stary, przynieśno węgla! Klęka przy piecu i wygrzebuje popiół.

Robert d. s. Jakie zadośćuczynienie miał na myśli? Małżeństwo? Hahaha! — ależ ja sam nie wiem, czy szczerze i otwarcie mógłbym go pragnąć. — W ostateczności zostaje pojedynek!... Jeżeli mnie zabije, — skończona ze mną sprawa. Ale — co się z tymi stanie?

SCENA II.

Ciż. Heinecke.

Heinecke w podartym szlafroku, w wielkich butach filcowych, wchodzi z koszem węgli.

Heinecke przytłumionym głosem. Dzień dobry.

Robert. Dzień dobry, ojcze.

Heinecke mruczy pod nosem. Tak, tak.

Pani Heinecke. Nie mrucz, stary! Pomóż mi rozpalić!

Heinecke. No, no! Rozpalę, rozpalę. Oboje klękają przy piecu.

Robert do siebie. A jeśli go zabiję? Tak, toby był naprawdę rezultat! Ale znowu pytanie zostaje, co się z nimi stanie? Nie zdobędę się więc na taki zbytek, jak honor! Z krzykiem. Ach, jakżem nikczemny!

Heinecke. Synu, co tobie?

Pani Heinecke ciszej. To wszystko z powodu Almy! Nie kładł się wcale do łóżka.

Heinecke. Prawda, prawda — ta Alma! — Na to człowiek posiwiał z honorem! Ale ja wam zawsze mówił, że tam z frontu spadnie na nas kiedy wielka bieda!

Pani Heinecke. Nie płacz, stary. Oboje trzy mają się w objęciach.

Robert d. s. O! czemuż mi serce nie pęknie!

Heinecke. E, co mam płakać! Ja tu jestem panem domu! Ja wiem, co zrobię! — Biedny kaleka także ma swój honor! I mnie to ma spotkać? Moja córka? Ja jej pokażę! Grozi pogrzebaczem. Ja ją przeklnę, ja, rodzony ojciec, przeklnę ją!

Pani Heinecke zaścielając łóżko. No, no!

Heinecke. E, co ty się znasz na honorze. Uderza się w pierś. Tu, o, tu siedzi honor. Na ulicę ją wyrzucę, na bruk, na deszcz i słotę.

Robert. Aby zupełnie zmarniała, mój ojcze?

Pani Heinecke. Niech się wygada. On nie taki srogi!

Robert. Zobaczcie, co się z nią dzieje? Lęka się zapewne spojrzeć nam w oczy.

Pani Heinecke. Najpewniej śpi.

Robert. O!

Pani Heinecke podchodzi do drzwi sypialni. Alma! Cisza.

Robert. Na miłość Boską! Nie trzeba jej było samej zostawiać!

Pani Heinecke otworzyła drzwi. Ale! śpi!

Robert. I ona może spać!

Pani Heinecke. Wstaniesz mi zaraz, niedobra dziewczyno!

Heinecke za nią. Jazda, dalej, wyłaź z łóżka, bo cię wyłoję.

Robert. Ojcze, matko, posłuchajcie, zanim przyjdzie! Nie trzeba się zbyt srożyć. To ją w gorszy upór wbije.

Pani Heinecke. Mój synu, wiem, żeś wiele mądrzejszy od twej starej matki, ale na tem to już ja się lepiej rozumiem. Wezmę się do niej, jak w domu poprawy, choćby mi serce pękało. — Wszystko jej każę robić: buty czyścić, ziemniaki skrobać, w izbie zamiatać, schody szurować...

Robert. A jeśli wam pewnej nocy ucieknie?

Heinecke. Aha! — pod zamknięciem będzie! A klucz u mnie w kieszeni! — Niech tylko spróbuje!

Robert. Zważcie jednak, że to jeszcze nawpół dziecko! Inni tu więcej zawinili. Rodzona siostra!... Ach!... Dla tamtej, bądźcie surowi, dla tej rajfurki... Spodziewam się, że mogę od was wymagać, abyście Almę raz na zawsze usunęli z pod wpływu siostry. Dla Augusty i jej męża drzwi tego domu powinny być zamknięte.

Heinecke. Rychtyk! Trzeba się raz pozbyć

tego towarzystwa. Ten Michalski już mi bokiem wyłazi. Widzisz matka! To dopiero Robert z Indyów musiał przyjechać i prawdę wam palnąć. Ale wy nie macie serca dla mnie, starego uczciwego człowieka.

Robert. Wybacz, ojcze! Nie o ciebie teraz idzie.

Heinecke. To wszystko jedno. — A Gusta tylko z próżną gębą przychodzi — co może porwać, to z domu wynosi.

Pani Heinecke ocierając oczy fartuchem. Ale i to moje dziecko, a ja wszystkie dzieci równo kocham!

Robert. Nawet, jeśli na twoją miłość nie zasługują?

Pani Heinecke. Wtedy tembardziej!

Robert. Cicho!... Cicho!...

SCENA III.

Ciż. Alma.

Alma w białym, nocnym kaftaniku i białej spódnicy, z rozpuszczonymi włosami, staje ociągając się w drzwiach sypialni i przygląda się wszystkim po kolei zastraszonym wzrokiem.

Heinecke. Hoho!

Pani Heinecke załamując ręce Oj dziewczyno, więc to moja nagroda? A nie dawałam ci tysiące dobrych nauk? Nie chowałam cię jak księżniczkę? Ale teraz się to skończy! Czego tu stoisz? Przynieś miotłę! Wymieć pokój!

Alma zasłaniając się łokciem przemyka się do kuchni.

Heinecke zirytowany chodzi po pokoju, kulejąc. Ja jestem twój stary ojciec — tak jej powiem — ja ci życie dałem. Tak! jestem stary, ale uczciwy człowiek! Tak! uczciwy jestem.

Alma wchodzi z kuchni z miotłą i śmietniczką.

Robert do siebie. Jakże wzruszająco wygląda w swej pokorze!... I ona!...

Pani Heinecke. No — czegóż się guzdrzesz?

Heinecke uroczyście. Almo, córko moja, chodź do mnie — bliżej, słyszysz.

Alma. Tylko proszę... niech mnie ojciec nie bije!

Heinecke. Bić!... Nie o to idzie. Ale ja jestem stary, uczciwy człowiek. Rozumie się! Tutaj siedzi mój honor. Wiesz ty, co ja teraz z tobą zrobię? Ja cię przeklnę, rozumiesz ty, przeklnę.

Alma. Dajcie mi spokój!

Heinecke. Jakto — jeszcze się będziesz upieać? Poczekaj, ja cię nauczę! Ty!...

Pani Heinecke. Stary, daj jej spokój — niech idzie do roboty.

Heinecke. Co?... Nie wolno mi przekląć mojej wyrodnej córki?!

Pani Heinecke. E! — to tylko w książkach tak piszą.

Heinecke. Ho!

Robert. Moi drodzy — tak być nie może. Zostawcie mnie na chwilę z nią samą. Przebieżcie się tymczasem, bo prawdopodobnie dostaniecie gościa.

Pani Heinecke. Chodź, stary!

Heinecke. Żeby mnie nie było wolno przekląć mojej wyrodnej!... No, poczekaj ty! — Pani Heinecke ciągnie go ze sobą. Oboje odchodzą.

SCENA IV.

Robert. Alma.

Robert d. s. Teraz się dowiem, jaką jest w gruncie rzeczy i co czynić należy. Łagodnie. Pójdź do mnie, moja siostro.

Alma. Matka kazała mi zamiatać.

Robert. Będzie dosyć czasu. Bierze ją za rękę. Alma cofa się zalękniona. Nie bój się... ja cię bić nie będę. Ani przeklinać cię nie będę... Wiedz tylko, że od tej chwili masz we mnie dobrego przyjaciela, który będzie czuwał nad tobą... z wiernością i pobłażaniem.

Alma. Ty jesteś za dobry... o! za dobry!... Szlochając upada przed nim na kolana.

Robert. No, no — nie klękaj przedemną! Siadaj tu, na podnóżku, o przy mnie... siada sam na krześle i podnieś głowę, żebym ci mógł w oczy spojrzeć. Usiłuje podnieść jej głowę, którą ona uporczywie ukrywa na jego kolanach... A więc nie chcesz?... Dobrze — leż sobie i płacz — ja cię nie odtrącę... Nie jedną jeszcze noc przepłaczesz, gdy zrozumiesz lepiej, co z ciebie zrobiono... Powiedz, moje dziecko — czy uznajesz, że odtąd przez całe życie musisz pokutować?

Alma. Tak! Wiem...

Robert bierze jej głowę w obie ręce- O — moja siostrzyczko! Przez dziesięć lat marzyłem tam, zdala, na obczyźnie, o twojem szczęściu... Przez całych dziesięć lat... A teraz i przez dwadzieścia trudno będzie o tem nieszczęściu zapomnieć.

Alma. Za dwadzieścia lat będę już stara.

Robert. Stara? — i cóż to znaczy? Dla nas obojga już niema młodości!

Alma. O, mój Boże!

Robert rozdrażniony, zrywa się z krzesła. Nie lękaj się. Zostaniemy z sobą razem. Skryjemy się do jakiejś zapadłej nory, jak poszczuta zwierzyna. O tak, bo nią jesteśmy... Poszczuli nas i poszarpali dla własnej uciechy... Alma z ukrytą twarzą opada na opróżnione krzesło. Widzisz, moja droga, tylko my oboje możemy się wzajemnie wyleczyć... ty mnie, a ja ciebie. D. s. Jaka zgnębiona! Mój Boże, coraz lepiej rozumiem, co czynić należy. — Tej dziecięcej duszy zdeptanej w błocie nie zdoła mi ten łotr powrócić, a innego zadośćuczynienia nie potrzebuję!... Almo!

Alma powstając. Co?

Robert. Czy ty go bardzo kochasz?

Alma. Kogo!

Robert. Kogo?... Tamtego!

Alma. O! tak!

Robert. A straciwszy go zupełnie — mogłabyś to przeboleć?

Alma. E!

Robert. To dobrze... Bądź tylko odważną... Człowiek uczy się zapominać! O tak! uczy się... Siada. Przedewszystkiem musisz się znowu zabrać do pracy. Rozumiesz chyba dobrze, że z tem śpiewaniem trzeba skończyć raz na zawsze. Uczyłaś się krawieczyzny... wrócisz do niej. Tylko nie pozwolę ci chodzić do magazynu... Tam tylko zły przykład i zepsucie.

Alma. Ach tak, te dziewczęta są takie zepsute.

Robert. Nie powinno się nikogo obrzucać kamieniem. — A zwłaszcza ty! Dokąd wyjedziemy, tego jeszcze nie wiem. — Wiem, że ciężko byłoby rodziców aż tam ruszyć, bo wziąłbym was do siebie — ale wyjedziemy dokądkolwiek, byleby stąd daleko, bardzo daleko, gdzie tylko do mnie należeć będziesz. — Do mnie i do pracy. — Wierzaj mi — dobre zmęczenie jest już połową szczęścia. — Rodzice zamieszkają naturalnie przy nas, a ty mi musisz być pomocną w ich pielęgnowaniu. Oprócz szycia będziesz musiała prać i gotować. — Pielęgnować ich będziesz i znosić ich kaprysy. Zgadzasz się na to?

Alma. Jeżeli sobie tego życzysz.

Robert. Nie — ty sama chcieć tego powinnaś i to z najwyższą radością. Inaczej nie będzie błogosławieństwa Bożego. Pytam się więc po raz ostatni: chcesz czy nie?

Alma. I owszem. Od jutra zrobię, co każesz.

Robert. Dobrze. Czemuż jednak dopiero od jutra a nie zaraz dzisiaj?

Alma. Bo jabym jeszcze dzisiaj —

Robert. Cóż takiego?

Alma. Bardzo, bardzo proszę!

Robert uprzejmie. Śmiało — o co chodzi?

Alma. Ja — jeszcze dzisiaj — mam taką ochotę — pójść na redutę. Długie milczenie. Gra niema... Robert wstaje i przechadza się po pokoju.

Alma wstając. Cóż, czy mi wolno?

Robort. Zawołaj rodziców!

Alma. A więc nie mogę? Płaczliwie. Już mi nawet tego nie wolno? Na zakończenie nawet odmawiają mi tej drobnej przyjemności?

Robert. Czy wiesz, co mówisz? Ty...

Alma krnąbrnie. Już ja wiem bardzo dobrze, co mówię... Nie jestem przecie taka głupia! Ja wiem, co to jest życie... I czegoż się tak wypatrzyłeś na mnie?... Czy to nie głupota tu siedzieć, nie wiem, po co i na co? — Słońce ani księżyc nie zajrzą na to podwórze. — A naokoło same plotki i wymyślania!... Nikt tu nie ma pojęcia o edukacyi... Ojciec, matka wymyślają — a człowiek sobie palce od igły pokłuje!... I za to raptem pięćdziesiąt feników na dzień... To ani na naftę nie wystarczy... A kto młody i ładny, chętnieby się pobawił i ładnieby się ubrał.... I chciałby się już w inne sfery dostać.. Bo ja zawsze byłam do czegoś lepszego stworzona...

rozumie się, że byłam... Lubiłam książki czytać i... a tu co? Idź za mąż! Ale, na miłość Boską, za kogo? — Przecież takiej hołoty, co tu w fabryce pracują, nie wzięłabym za nic w świecie... Przepije cały zarobek i potem jeszcze zbije... Jabym wyszła tylko za kogoś lepszego, a jak za takiego nie mogę, to wolę nikogo... A pan Kurt zawsze był dla mnie grzeczny... Od niego nie nauczyłam się żadnego grubiaństwa... Tego tylko w domu mogłam się nauczyć... Ja tu dłużej nie usiedzę. Obejdę się bez twojej opieki... Takie dziewczęta jak ja, nie zginą marnie, bądź spokojny!...

Robert chce się rzucić na nią, ale się powstrzymuje. Zawołaj rodziców!

Alma. Dobrze — a teraz się ojca spytam, czy mi nie wolno... Spostrzegając jego groźne poruszenie. Idę, już — idę! Odchodzi.

Robert sam. Tak. — A więc to ona?! Jaki ze mnie głupiec!... Chciałem sobie jej prostactwo żalem i poezyą tłumaczyć. Nie! — To nie skutki uwiedzenia!... To leżało we krwi! Tak, a teraz trzeba działać. Bez litości, choćby najsurowiej! — Inaczej — wszystko stracone! —

SCENA V.

Robert. Heinecke. Pani Heinecke. Alma.

Pani Heinecke popycha Almę naprzód.

Heinecke z pełnemi od jedzenia ustami. Bezwstydna dziewczyna!

Pani Heinecke. Reduty kosztują dużo pieniędzy. W domu zostaniesz.

Heinecke. Czy nie zasłużyłaś na moje przekleństwo? Ja ciebie jeszcze raz przeklnę, ty, ty, kanalio!

Robert. Almo, wyjdź stąd. Chcę pomówić z rodzicami.

Pani Heinecke. A nie łaź mi tak... Wdziej co na siebie! Tę popielatą suknię, połataną, rozumiesz!

Alma. Ten stary łach?

Heinecke. Wynoś się!

Pani Heinecke. Tylko żebyś mi kawy nie piła. Rozumiesz? No, no, nie becz zaraz! Cicho. Stoi tam na blasze!

Alma wychodzi.

SCENA VI.

Heinecke. Pani Heinecke. Robert.

Robert. Ojcze, matko — nie gniewajcie się na mnie... Muszę koniecznie — to jest, w waszem życiu musi — i to wkrótce — nastąpić wielka zmiana.

Heinecke. Cóż znowu?

Robert. Przekonałem się, że Alma bez ratunku ugrzęźnie w zepsuciu, jeżeli nie umieścimy jej wśród takich stosunków — gdzieby nie miała nawet możliwości powrotu do dotychczasowego trybu życia. — Ale cóż się z wami stanie? — Sami nie możecie tu pozostać, gdyż padlibyście

ofiarą chciwości Michalskich. — Jednem słowem... musicie ze mną wyjechać!...

Pani Heinecke przerażona. Do Indyi?

Robert. Wszystko jedno — dokąd. Może i do Indyi. Wpływy Trasta sięgają daleko. Możemy wybierać.

Heinecke chmurny. Jeżeli już tak, to prosto do Indyi.

Pani Heinecke. W głowie mi się to nie chce pomieścić.

Robert. Przyjdzie wam to z trudnością... ja to rozumiem. Ale nie rozpaczajcie. Groźniej się to wydaje, aniżeli w rzeczywistości. W tych gorących krajach żyje się sto razy wygodniej, niż tutaj. Służby będzie bez liku.

Heinecke. Patrzcie?! — Tam, do licha!

Robert. I własny dom.

Heinecke. I palmy?

Robert. Więcej, niż sami zechcecie.

Pani Heinecke. A najsmaczniejsze owoce południowe rwie się prosto z drzewa?

Robert. Każecie je niewolnikom zrywać.

Pani Heinecke. I nic nie kosztują?

Robert. Prawie nic.

Heinecke. I papugi sobie tam latają? I małpy, — jak u nas w ogrodzie zoologicznym.

Robert. A więc — zgadzacie się?

Pani Heinecke. No, cóż ty — stary?

Heinecke. No, niechże już tak będzie — jedziemy z tobą!

Robert. Dziękuję wam! — Dziękuję wam! n. s Bogu dzięki, że nie potrzebowałem ich zmuszać: Głośno. Ale nie traćmy czasu. Gdzie papier i pióro?

Heinecke zamyślony drapie się w głowę.

Pani Heinecke. Alma będzie miała. Odchodzi do sypialni.

Heinecke. Naturalnie. Ona wiecznie jakieś listy pisze. Zamyka drzwiczki od pieca.

Robert d. s. z westchnieniem ulgi. Ha! — Teraz w dwójnasób pożądam tej satysfakcyi, którą mi zaproponuje — a którą ja odrzucę. — Odrzucę! nawet pojedynek. — Niechaj mnie nazwą tchórzem i człowiekiem bez honoru! Cóż z tego?! Nie potrzebuję ich honoru, obowiązkiem moim dać chleb mojej rodzinie.

Pani Heinecke wracając. Przygotowałam ci wszystko na stole. — Albo może chcesz tutaj...?

Robert. Nie, nie! Tam mi nikt nie przeszkodzi!

Pani Heinecke. Jesteś zmęczony. Może się przespisz godzinkę.

Robert odmawia ruchem głowy. Dajcie mi znać, gdyby młody pan Mühlingk przysłał do mnie lub sam przyszedł. Odchodzi.

SCENA VII.

Heinecke. Pani Heinecke.

Pani Heinecke upadając na krzesło. Do Indyów!...

Heinecke. Starych, porządnych ludzi wlec gdzieś na kraj świata.

Pani Heinecke wskazując na okno. Jezu Chryste!

Heinecke. Cóż tam takiego?

Pani Heinecke. Michalscy.

Heinecke. Co? Oni! Zapina surdut. Niechno mi tu przyjdą. Słuchać pukanie.

Oboje cicho. Proszę!

SCENA VIII.

Ciż. Augusta. Michalski z paczką.

Michalski. Dzień dobry!

Pani Heinecke. Pst!

Heinecke pięścią grożąc. To wy! — Zaraz mi się stąd wynoście!

Augusta siada. Porządnie z rana zimno.

Michalski siada i dobywa flaszkę z paczki. Przyniosłem wam tu likier. — Wyśmienity! — Podaj no grajcarka.

Pani Heinecke. Kiedy indziej! Mamy was wyrzucić za drzwi.

Augusta. Któż to rozkazał?

Pani Heinecke. Pst! Robert!

Augusta. Co? I wy pozwalacie sobie we własnym domu rozkazywać?

Heinecke cicho. Cicho! Siedzi tam w pokoju.

Augusta z litością. Biedny ojczulek. Drży z obawy.

Michalski. Starych, uczciwych ludzi tak straszyć. A to łotr!

Pani Heinecke. Nie łotr! To dobre dziecko. troszczy się o nas.

Heinecke. Choć nas chce wlec aż do Indyi.

Augusta i Michalski. Co? Dokąd?

Pani Heinecke. Do Indyi.

Augusta. Dlaczego?

Pani Heinecke. Ino dlatego, że się Almie zachciało iść na redutę.

Michalski. Zwaryował!

Pani Heinecke. Te ładne mebelki, z którymi tak było przyjemnie, trzeba teraz opuścić.

Augusta sentymentalnie. I mnie, biedną chcecie opuścić! — Czy je sprzedacie?

Pani Heinecke. Meble? — Augusta przytakuje. Musimy!

Augusta. I lustro także i foteliki? Pani Heinecke potwierdza. — Ze wzruszeniem. A ja na waszem miejscu, zamiast je za bezcen pozbywać, wolałabym je córce darować... biednej, w samotności zostającej, — na pamiątkę. Macie przynajmniej pewność, że je ktoś uszanuje.

Pani Heinecke mierzy ją nieufnym wzrokiem, potem po cichu do męża. Stary, ona już ma chrapkę na fotele!

Augusta dalej ciągnąc. Albo, jeżeli koniecznie je chcecie sprzedać, to my wam najlepiej zapłacimy. Żeby chociaż w familii zostało.

Heinecke. Jeszcze nie jedziemy!

Michalski. Jabym na waszem miejscu...

Pani Heinecke. Co robić? Przecie od niego

zupełnie zależymy. Jak rozkaże, trzeba z nim iść wam przecie ciężarem nie będziemy!

Augusta. My sami jeść nie mamy.

Słychać pukanie.

SCENA IX.

Ciż. Radca.

Ogólne zamieszanie.

Radca. Dzień dobry, moi ludzie. Wasz syn w domu?

Heinecke. z szacunkiem. Do usług.

Pani Heinecke otwiera drzwi. Robert! czule. Miły mój Boże, na krześle biedak zasnął... oka tej nocy nie zmrużył... Robertku, pan radca!... Spi dobrze.

Radca uprzejmie. Tak?... Tem lepiej! — Nie budźcie go!

Heinecke. Zamknij drzwi.

Pani Heinecke. Przecie sam mówił, żeby...

Heinecke. Mówił. jeżeli młody pan Mühlingk przyjdzie... Przymyka cicho drzwi.

Augusta do Michalskiego z ruchem liczenia pieniędzy. Uważaj!

Radca rozglądając się po pokoju. Nieźle wam tu, jak widzę, moi mili.

Heinecke z godnością. Może pan radca raczy usiąść na tym fotеliku?

Radca. Haha! Czysty jedwab?

Pani Heinecke. Tak, tak — to czysty jedwab.

Radca. Zapewne miły podarunek?

Pani Heinecke z wahaniem. Właściwie...!

Radca spokojnie. Od mego syna?

Heinecke. A tak!

Pani Heinecke. Pst!

Radca n. s. A to hultaj! Głośno. Słuchajcie! luby wasz syn nie bardzo grzecznie wobec mojego się zachował. Otwarcie mówiąc innej spodziewałem się wdzięczności! Powiedzcie mu, że traci posadę. Do czwartej po południu oczekuję jego obrachunków.

Pani Heinecke. Strasznie go to zasmuci!

Heinecke. On pana radcę kochał, jak własnego ojca.

Radca. Tak? To mnie cieszy. — Ale nie po to tu przyszedłem, moi drodzy. Macie córkę.

Augusta wysuwając się naprzód. Do usług!

Radca. Pani sobie życzy...?

Augusta z szacunkiem. Ja właśnie jestem córką.

Radca. Tak? — Bardzo ładnie — bardzo ładnie! Ale nie o panią chodzi. Tamtej panience Alma na imię!

Pani Heinecke. Tak, tak. I bez pretensyi, mogę powiedzieć, że jest ładną dziewczyną.

Heinecke. I utalentowana. Kierujemy ją na śpiewaczkę.

Radca. A! Bardzo miło słyszeć, że dzieci są pociechą swoich rodziców. Co mi się tylko nie podoba, że wasza córka tego schronienia, które wam od siedmnastu lat w swym domu daję, użyła

na zawiązanie stosunku z moim synem. Otwarcie mówiąc, innej spodziewałem się wdzięczności.

Pani Heinecke. Ależ panie radco!

Radca. Aby przerwać wszelką styczność między wami a moim domem, daję wam odstępne, — wy, dzielny mój Heinecke, podzielicie je ze swoją córką, połowa odstępnego ma być dla niej posagiem, jeżeliby się ktoś znalazł... Śmieje się dyskretnie. No, rozumiecie... Aż do tej chwili możecie całej sumy dowolnie używać. Zgadzacie się?

Augusta za nim, szeptem. Zgódź się — zgódź.

Heinecke. Ja... ja...

Radca. Wyznaczyłem na ten cel nadzwyczajnie wysoką sumę, aby nią okupić to nierozważne przyrzeczenie, które wczoraj wasz luby syn na moim wymusił... Dochodzi ona do waha się i połyka słowa... pięćdziesięciu tysięcy marek.

Heinecke z krzykiem. Jezusie drogi, panie radco, czy to nie żarty?

Pani Heinecke. Słabo mi! upada na krzesło, Augusta ją podpiera.

Radca n. s. Za wysoko ich oszacowałem! Głośno. A więc zapytuję was jeszcze raz, czy przyjmujecie czterdzieści tysięcy marek?

Michalski. O ile pamiętam, mówił pan radca o...

Augusta trącając go, cicho. Zgódź się — prędko, bo jeszcze odciągnie!

Heinecke. E! Co mi się wierzyć nie chce, panie radco. Niechby nawet czterdzieści! Skądby się

wzięło tyle pieniędzy... To nie ma sensu. Pokaż mi pan te pieniądze.

Radca. Leżą w kasie dla was przeznaczone.

Heinecke. A pan kasyer powie: wyrzućcie za drzwi tego starego draba! — pokręciło mu się we łbie! — O, ten pan kasyer potrafi ordynarnie do nas gadać, do nas biedaków! —

Radca dobywa książeczkę czekową, pisze w niej liczbę, wyrywa kartkę i podaje Heineckemu. Wszyscy pilnie przypatrują się przekazowi.

Heinecke. Czterdzieści tysięcy! Zawsze to strasznie galanto!... Panie radco, podaj mi pan swoją rękę.

Radca chowa rękę do kieszeni. A, jeszcze jedno. Jutro wieczorem stanie wóz na rzeczy przed waszemi drzwiami, a w dwie godziny później opuścicie ten dom. Spodziewam się, że na przyszłość nie usłyszę o was.

Heinecke. Nie mów pan tak, panie radco! Jeśli panu wizyta starego, uczciwego człowieka nie zrobi wstydu, to sobie czasem pozwolę... Tak, bo starym, uczciwym człowiekiem przecie jestem!...

Radca. Naturalnie! Bądźcie zdrowi, mili ludzie! N. s. Hołota! Odchodzi.

SCENA X.

Heinecke. Pani Heinecke. Augusta. Michalski.

Heinecke. Matka! Czterdzieści tysięcy! Michalski chce go uścisnąć. Zdaleka odemnie, mój panie zięciu! Szuka po kieszeniach, znajduje chusteczkę, roz-

pościera ją na kolanach, wkłada przekaz starannie, zwija chustkę i chowa do bocznej kieszeni. Tak, teraz się możesz rozczulić!

Pani Heinecke. Zabolało mnie z radości! ściskają się wśród płaczu. Jak sobie pomyślę: nie potrzebuję iść na targ bez pieniędzy, a jak będzie zimno, to sobie po południu bez wyrzutów sumienia jeszcze raz mogę napalić — i to porządnie! A na wieczór mieszaninka!

Heinecke. A ja sobie mogę jeździć tramwajem, ile mi się spodoba.

Michalski. Akurat czterysta tysięcy razy po 10 fenigów.

Pani Heinecke. I kanapę mi teraz sprawisz!

Augusta. Ale do Indyi nie pojedziecie?

Pani Heinecke. Chryste Panie!

Heinecke. Chybaś zwaryowała!

Augusta. A cóż na to powie pan Robert?

Pani Heinecke spieszy do drzwi z radością. Ach Robert!

Augusta zatrzymuje ją. Moja matko, niech sobie spi. Na czas się dowie o wszystkiem.

Pani Heinecke przestraszona. Jak to myślisz?

Heinecke ciągnie ją za suknie i wskazuje na drzwi od kuchni. Ale ta?... Hehe!...

Pani Heinecke. Biedne, kochane dziecko!

Heinecke tajemniczo. Zróbmy jej niespodziankę — Pst!

Wszyscy na palcach podchodzą do drzwi od kuchni.

Heinecke idzie pierwszy, otwiera drzwi — słychać krzyk — Heinecke zdumiony cofa się. A to co? Matka, patrzajno! —

Pani Heinecke załamując ręce nad głową. Jezu Nazareński!

Michalski zagląda ponad ich plecami. Tam do — licha!

Heinecke z udaną surowością. Zaraz mi stamtąd wyłaź!

Głos Almy trwożliwie. Proszę bardzo — nie, nie...

Heinecke. Pójdziesz mi tu zaraz?

SCENA XI.

Ciż. Alma.

Alma wchodzi w przepysznym indyjskim kostyumie, zakrywając sobie wstydliwie twarz rękoma. Wszyscy otaczają ją z ukrywanym śmiechem i wykrzykami podziwu. Augusta bada w palcach materyę.

Augusta. Indyjska suknia.

Michalski. Z nagiej księżniczki.

Alma. Ja — ja — chciałam — ją tylko przymierzyć. Ja — ja ją zaraz zdejmę.

Pani Heinecke pieszcząc ją z ostrożnością. Ach, Boże — jak aniołek!

Alma. Więc się już na mnie nie gniewacie?

Heinecke. Gniewać się? Przypominając sobie, surowo. To jest, właściwie — bardzo! Jednak tym razem jeszcze ci przebaczymy! Odwracając się. Alem to paradnie urządził? A — co?

Pani Heinecke muska ją po lokach i prowadzi ją na prawo. Pójdź tu! Usiądź sobie! Nie — tu, na foteliku.

Alma. Na tym?... Co się stało?

Heinecke. Hehe! Wszyscy siadają dokoła niej.

Alma. I wolno mi dzisiaj pójść na redutę?

Heinecke. Rozumie się, ja ci pozwalam!

Augusta ironicznie. Biedne dziecko!

Heinecke zrywając się. Ależ ja muszę lecieć do kasy!

Michalski otwierając flaszkę z likierem. Czekajno! Trzeba szczęście oblać, żeby się przyjęło. Alma, daj kieliszki!

Pani Heinecke zrywa się. Dajże dziecku spokój. Ja już sama podam! Idzie do szafy z bielizną i przynosi tacę z kieliszkami. Do Augusty. Cóżeś ty mówiła o Robercie? —

Augusta. No — zobaczysz!

Pani Heinecke. Przecie biednym, starym ludziom nie będzie szczęścia zazdrościł? —

Michalski wznosząc kielich, spiewa. Żyjmy więc, żyjmy więc —

Pani Heinecke. Cicho! Na miłość Boską! W pokoju obok słychać poruszenie krzesła.

Michalski. Moi państwo, panna Alma Heinecke, nasze dziecię szczęścia, a przedewszystkiem rodzina, która w każdym razie okazała dużo elegancyi...

Heinecke. Rodzina Mühlingków niech żyje, wiwat!

SCENA XII.

Ciż. Robert staje w drzwiach bocznych.

Wszyscy powtarzają dwa razy okrzyki.

Pani Heinecke przestraszona. Robert!

Przykre milczenie.

Michalski zuchwale. Dzień dobry, szwagierku!

Robert. Matko, wytłumacz mi, jakim sposobem ci ludzie siedzą przy naszym uczciwym stole?

Michalski. Oho!

Heinecke. Nie bądźże takim gburem!

Pani Heinecke podchodzi do niego, na lewo. Robertku, nie trzeba być tak dumnym, zwłaszcza wobec własnej familii.

Robert. Hm — Alma, co to znaczy? Kto ci pozwolił —

Heinecke. I wiedz sobie, że z tych twoich Indyi — to nic. Ja sobie wolę z moim majątkiem żyć tutaj, w kraju.

Robert nie mogąc tego pojąć. Co się tutaj stało?

Pani Heinecke. Mów, stary, boś ty wziął przekaz.

Robert. Co za przekaz?

Heinecke przybierając śmiałą postawę. Mój synu! — Nie każdemu zaraz z miny widać, co to za jeden... Chowa to niejako w sobie... Dlatego przed nim trzeba mieć respekt, bo nie można zgadnąć, co się tam pod tą wytartą kapotą kryje... Bobrowe futro lada kto nosić może.

Robert. Może zechcesz mi, ojcze, nareszcie wytłumaczyć...

Heinecke. Tłumaczyć? A cóż tu jest do tłumaczenia... Nie patrz tak na mnie. Matka, czego on mi się tak przypatruje...? Ja sobie to wypraszam!?...

Pani Heinecke. Gadajże nareszcie.

Heinecke. Zatem, jak powiadam, po prostu: pan radca był tutaj.

Robert. Radca...? Dlaczegoście mnie nie zbudzili?

Heinecke. Tak?... Najpierw, że to nie był młody pan Mühlingk. Jeżeli twój przyjaciel przyjdzie, to sobie go możesz przyjmować. Stary pan Mühlingk jest moim przyjacielem... Przyrzekliśmy sobie, nawzajem się odwiedzać!... A powtóre mój syn mi nie będzie rozkazywał, co mam robić... Już tego dosyć!... Rozumiesz?

Pani Heinecke. Ależ stary!

Heinecke. Nie wtrącaj się, kiedy synowi memu daję ojcowskie napomnienia. Ja teraz nie pozwolę ze siebie żartować!

Michalski za nim. Doskonale!

Robert. Czy była mowa o Almie?

Heinecke. Najpierw była o tobie. Jesteś uwolniony z posady — z powodu nieodpowiedniego zachowania się. Otwarcie mówiąc, innej po tobie spodziewałem się wdzięczności!

Robert. Ty, ojcze?

Heinecke ostro. Tak, ja, twój stary, uczciwy ojciec. — Wcale mi to nie obojętne, kiedy moi synowie bez posady się włóczą. A do czwartej po południu masz mu odesłać rachunki, bo inaczej źle z tobą!

Robert chce wybuchnąć, ale się wstrzymuje. Mówmy o Almie! Czy ofiarował nam zadośćuczynienie?—

Heinecke. Rozumie się! Najzupełniejsze!

Robert z wahaniem, czując że mówi niedorzeczność. Zatem — małżeństwo?

Heinecke. Jakie małżeństwo?

Robert. Jego syna — z — moją..

Heinecke. Czyś zwaryował?!

Robert wybucha — z obawą. Cóż więc?

Heinecke chytrze, cicho, do ucha. Czterdzieści tysięcy marek! Głośno. A co? — Po pańsku — prawda?

Robert z przeraźliwym wykrzykiem. Pieniądze?

Pani Heinecke przestraszona. Jezu drogi! Zaraz sobie tak myślałam!

Robert. Pieniądze!

Heinecke. A tak! Tu, w kieszeni! Już jakby gotówka!

Robert. Jakto? I ty je przyjąłeś?

Heinecke zdziwiony. A no...?

Robert. Ofiarował ci pieniądze i ty je przyjąłeś? Napiera na niego bez opamiętania.

Michalski wpada między nich. Radzę ci, daj spokój temu starcowi!

Robert stawia się, nie zwracając na niego uwagi. Matko! I wyście przyjęli?

Pani Heinecke załamując ręce. Synu mój, jesteśmy biedni ludzie! Robert z rozpaczliwym śmiechem pada na stołek warsztacki. Michalski i Augusta koło starego. Alma siedzi z uśmiechem na krześle z założonemi rękami.

Pani Heinecke n. s. Boże, zmiłuj się nad nim! Z nim nie dobrze! Kładzie mu rękę na plecy. Synu mój, przyjmij dobrą naukę od twej matki: nie należy szczęścia deptać nogami, bo pycha ginie marnie na barłogu.

Robert. Ach, matko — to jeszcze nienajgorsze... Na barłogu — w rowie chętnie zginę... jak pies zdechnę! — Tylko oddajcie te pieniądze!... Posłuchajcie — ja chcę z wami spokojnie, rozsądnie pomówić. Ja wam tu, na palcach wykażę, że musicie to uczynić. — Oni nas hańbą okryli. — Dobrze. — Ale naszej w tem nie było winy. — Nie potrzebowaliśmy się przed nikim wstydzić. — Można mi skraść mój honor, jak się kradnie portmonetkę. — Na to niema sposobu. — Ale, jeżeli sobie za tę trochę naszego honoru pozwalamy płacić — płacić gotówką! — w takim razie nie byliśmy nigdy godni szacunku. I w takim razie zasłużyliśmy na to.... Heinecke odwraca się ku Michalskiemu, który wskazuje na czoło. Mój Boże, ja to wszystko rozumiem. — Nie robię wam przecie wyrzutów, — żadnych. Jesteście ubodzy i byliście nimi zawsze. — Takie nędzne

życie w obawie o chleb codzienny niweczy rozsądek i godność człowieka. A teraz zaślepiacie się tą trochą złota. — Ale wierzajcie mi — nie będziecie z tych pieniędzy mieli pociechy. Nic wam z nich nie zostanie — tylko wstręt. — Dławiąc się. Ach — wstręt! — To dusi!

Pani Heinecke. Zimno się robi od takiego gadania!

Heinecke. To mój synalek!

Robert. I nie sądźcie, że wam źle będzie, kiedy zemną pójdziecie! Spojrzyjcie na mnie. Wszak uczyłem się czegoś? Nieprawdaż? — Wszak jestem zdrów, nieprawdaż? Te kilka lat, które wam do życia zostają, możecie mi przecie powierzyć! Ja chcę tylko dla was pracować!... Chcę was wzbogacić!... Wzbogacić!... Możecie ze mną robić, co wam się podoba. Chcę być waszym niewolnikiem, wołem roboczym. Ale zwróćcie te pieniądze!...

Heinecke. To wszystko bardzo pięknie i ładnie. Ale ja zawsze wolę kanarka w ręku, niż... To jest, chciałem powiedzieć...

Michalski. Dobrze tak, ojcze.

Heinecke. Pewnie że dobrze!... A więc, mój synu, idź, poluj na wróbla, a ja sobie zachowam mojego kanarka — nawet go zaraz pójdę osrebrzyć!

Michalski. Brawo!

Robert. A ty, matko?... Heineckowa się odwraca. I ty także!... Mój Boże, i cóż ja pocznę?... Almo,

wszak o ciebie tu chodzi!... Ja cię przeproszę! Ale ty mi pomóż. Chwyta ją za rękę, ona się opiera, Robert ją ciągnie na środek sceny. Oddałaś się — niech i tak będzie, niechaj to będzie twojem prawem. Ale się nie sprzedawaj!... Wszakże miłość twoja nie na to, aby nią frymarczyć. Almo, powiedz im to!

Alma krnąbrnie. Daj mi spokój!

Augusta. On temu dziecku jeszcze ręce połamie.

Alma. Nie masz mi nic więcej do gadania. Wyrywa mu rękę.

Robert. Siostro!

Alma. A na redutę i tak pójdę! Zapytaj się matki!

Robert. Matko?

Pani Heinecke. Dlaczegoż biedne dziecko nie ma się także raz zabawić?

Robert zgnębiony. A więc doszliśmy już tak daleko!

Michalski siadając na krześle, szyderczo. Tak jest — tak daleko!

Robert. A, ty rajfurze. Wstań mi stąd zaraz! Skoro Michalski się nie rusza, chwyta krzesło za poręcz. Wstań, mówię! I precz mi stąd! Precz stąd oboje!

Michalski rzucając się na niego. Tego mi już za dużo!

Robert trzymając krzesło w ręku. Spróbuj mnie tylko dotknąć!

Pani Heinecke rzuca się między nich. Nie rozbijajże mi fotelika!

Robert. Pewnie stamtąd pochodzi, z pałacu, bo go tak szanujecie?

Pani Heinecke. Rozumie się!

Robert. Od kochanego pana Kurta? Nieprawdaż?

Pani Heinecke. Oczywiście!

Robert z dzikim uśmiechem. Otóż go macie! Rzuca fotel na ziemię, tak, że się rozbija i ciska im kawałki pod nogi.

Pani Heinecke z płaczem. Mój śliczny fotelik! Klęka, zbiera kawałki i zanosi je na lewo. Potem pada na krzesło.

Heinecke. E, bo mi już tego za dużo. Chce wyjść na prawo.

Robert. W takim razie, skończyliśmy ze sobą, mój ojcze! Wydaliście mnie na świat, wyciskając na mnie od urodzenia — piętno podłości. A jeśli już tak było, jeśli koniecznie na świat przyjść musiałem, czemu nie zostawiliście mnie w błocie, do którego należałem?... W którem przez całe życie tarzać się muszę, dlatego, że moja luba rodzina tego pragnie?

Augusta. Słyszysz, matko! — To przecie twój ulubieniec.

Robert. Nie — moja matko — nie słuchaj! klękając obok niej. Ja nic nie powiedziałem... A jeślim co powiedział, to było szaleństwo! Mam uczucie, jakbym się dzisiaj z całej mojej ludzkiej natury wyzuwał. Matko, miej litość nademną... Możesz mnie i siebie wyratować! Pójdź ze mną!...

Pani Heinecke łkając. Czy chcesz w tej wściekłości i lustro mi rozbić? —

Robert rzuca błędny wzrok na zwierciadło, potem wstaje. Mówimy różnymi językami... Nie rozumiemy się...

Michalski który po cichu rozmawiał ze starym, chwyta go za ramiona. No, już dosyć tego hałasu. A teraz się wynoś!

Robert odtrąca go od siebie. Z drogi! Patrzy na starego i siostry, którzy go z gniewnym krzykiem okrążają, wybucha przeraźliwym śmiechem. Ach! a więc mnie wyrzucają!

Michalski otwiera szeroko drzwi. Precz!

SCENA XIII.

Ciż. Hr. Trast staje na progu.

Trast klepiąc Michalskiego po ramionach. Uniżone dzięki za uprzejme przyjęcie!

Robert poznawszy hrabiego, z krzykiem daje mu znak rękoma, aby się oddalił. Czego ty chcesz tutaj?... To jaskinia!... Wiesz ty, kim jesteśmy? My się sprzedajemy!... Hahaha!... Nie patrz tak na mnie... Ja tego wzroku nie ścierpię! Z ciężkiem westchnieniem ukrywa twarz w dłoniach. Skoro tylko Trast się ukazał, Alma ze wstydem się wymyka: Michalski i Augusta gnani spojrzeniami Trasta wysuwają się za Almą do kuchni.

Trast. Opamiętaj się! Co się stało?

Heinecke z czapką w ręku. Nienależycie się zachował, panie hrabio! Naprzód chciał nas ze

sobą wozić do Indyi. Potem zakazywał nam brać pieniądze... Właśnie idę do kasy. Całe czterdzieści tysięcy marek, panie hrabio. Moje uszanowanie panu hrabiemu. *Odchodzi na prawo.*

SCENA XIV.

Trast. Robert. Pani Heinecke.

Trast. A! Rozumiem już wszystko! *Kładzie rękę na ramieniu Roberta.* Był tu zapewne pan Mühlingk?

Robert. Człowieku, niechaj ci to Bóg nagrodzi. W porę przypomniałeś mi to nazwisko!

Trast. O cóż to chodzi?

Robert. Żądają odemnie złożenia rachunków. Dostaną je. *Idzie w głąb, otwiera kufer, gorączkowo w nim przewraca.*

Pani Heinecke *z płaczem.* Niech pan Bogu dziękuje, panie hrabio, żeś się pan nie ożenił. Dużo na świecie niewdzięcznych synów.

Trast *d. s.* Głupia kobieto, mówisz jak matka... *Po chwilowem zastanowieniu.* Fe, Trast, to nie ładnie.

Pani Heinecke. Czy nie mam słuszności?

Trast *oburącz chwyta jej rękę.* Matka zawsze ma słuszność! Zbyt wiele cierpiała i kochała, aby mogło być inaczej. *Podaje jej rękę.*

Pani Heinecke. Panie hrabio, jakto, mnie biednej kobiecie podaje pan rękę?

Trast. Zgrzeszyłem wobec matek, pragnę je przebłagać. A zwłaszcza własną. Są jeszcze gorsi synowie, niż ten, droga pani.

Robert wyszukał blok, przerzucił go i odłożył na bok. — Szuka dalej, wydobywa rewolwer i próbuje go.

Trast n. s. Aha, z rewolwerem! Więc tak chce składać rachunki!

Robert widząc, że go obserwują, ukrywa rewolwer w bocznej kieszeni, chwyta za kapelusz i z bloczkiem podchodzi na przód sceny. Tak, teraz jestem gotów!

Trast. Idę z tobą.

Robert. Ty?

Trast. Czyż nie mam prawa?

Robert niechętnie. Dobrze — chodź!

Pani Heinecke czule — ze łzami. Robercie!

Robert usiłując zapanować nad swojem wzruszeniem. Ja — tu — jeszcze — wrócę — się pożegnać, matko! Teraz mam ważniejsze sprawy do załatwienia! Idzie ku drzwiom.

Pani Heinecke do Trasta, załamując ręce. Pan Kurt — Robert, będzie z tego nieszczęście!

Trast półgłosem poza siebie. Cicho! Cicho!... No więc — idziemy?

Robert do matki w wielkim wzruszeniu z wybuchem uczucia. A gdybyśmy się — już więcej... opanowując się, do Trasta. Dobrze — chodźmy! Obydwaj idą ku drzwiom.

ZASŁONA SPADA.

AKT IV.

Scenerya jak w akcie drugim.

SCENA I.

Trast. Robert z blokiem pod pachą. **Wilhelm.**

Wilhelm cicho do Trasta. Surowo mi zakazano wpuszczać pana Roberta.

Trast. I mnie także?

Wilhelm. O, pan hrabia to całkiem co innego.

Trast. Dziękuję za łaskawe zaufanie. Pan Heinecke jest w mojem towarzystwie. Biorę odpowiedzialność na siebie. Poczekamy tu na pana radcę.

Wilhelm. Ale...

Trast. Co wolisz, srebro czy papier? szukając banknotu. Jakto? Niema nikogo w domu?

Wilhelm. Pan radca poszedł do fabryki, jaśnie pani ma migrenę. A panienka i pan Kurt pojechali do miasta.

Trast. Razem?

Wilhelm. O, ci nigdy razem nie jeżdżą. Pan Kurt chciał odwołać zaproszenia — z powodu tego — wskazuje głową na Roberta.

Trast dając mu pieniądze. Już dobrze — Możesz odejść.

Wilhelm. Do usług?

Trast. Możesz odejść! Wilhelm odchodzi z ukłonem.

SCENA II.

Trast. Robert.

Trast Pójdźno tu, mój chłopcze!

Robert. Czego chcesz odemnie?

Trast. Ja? Wiesz przecie, że nigdy niczego nie chcę... Pozwalam wypadkom sobą kierować. Ale zapytuję: czego ty chcesz tu — na tem miejscu?

Robert. Chcę złożyć rachunki.

Trast. Naturalnie... Wiem o tem... Skoro jednak zrzekasz się wspaniałomyślnego uścisku dłoni, którym się w tak podniosłych chwilach nagradza dzielnego robotnika — nie rozumiem, dlaczego nie odeślesz po prostu książek do biura — i kwita.

Robert. Tak, to byłoby bardzo proste.

Trast. Drogi człowiecze, pozwól, że jeszcze raz, jak przyjaciel do ciebie przemówię.

Robert. Mów tedy, mów.

Trast. Gonisz za widmem.

Robert. Czy tak?

Trast. Twojego honoru nikt nie naruszył.

Robert. Czy tak?

Trast. Ponieważ na całym świecie nikt tego uczynić nie może!

Robert. Tak, tak.

Trast. Tego, co ty nazywasz honorem, tej mieszaniny wstydu — uczucia taktu — uczciwości i dumy, tego, co sobie życiem pełnem moralności

i surowego poczucia obowiązku zdobyłeś, żadne łotrowstwo pozbawić cię nie może, jak również twojej dobroci serca i zozsądku. Bo, albo honor ten jest istotną twoją częścią, albo nie istnieje wcale... Z tym rodzajem honoru, który niedbale rzucona rękawica wymuskanego gagatka może zdruzgotać, nie masz nic wspólnego... taki honor może dobrze posłużyć za źwierciadło dla błaznów, za zabawkę dla próżniaków lub za pachnidło dla zapowietrzonych.

Robert. Mówisz, jak człowiek, który z biedy czyni cnotę.

Trast. Bardzo być może... gdyż początkiem każdej cnoty jest bieda.

Robert. A moja rodzina?

Trast. Zdaje mi się, że nie masz już żadnej?

Robert bólem ogarnięty ukrywa twarz w rękach.

Trast. Rozumiem ciebie... Jest to drganie nerwów, którym istotną część odcięto... Nie daj się w błąd wprowadzać... Choć uczuwasz ból w palcu, wiedz, że nogi już niema.

Robert. Nie miałeś nigdy siostry!

Trast. ...Jakto, więc ja, arystokrata, mam ciebie, plebejusza, uczyć wyrozumiałości dla niższych? Mój drogi, nie pogardzaj swoimi. Nie mów, że są gorsi, niż ty lub ja... Są tylko inni i nic więcej... W ich sercach mieszka uczucie, które jest obcem dla ciebie, w ich głowach maluje się obraz świata, którego ty nie rozumiesz. I za to

ich potępiać, byłoby głupstwem i niedorzecznością. A zresztą powiem ci w końcu, że w walce ze swoją rodziną zajmowałeś od początku do końca niesprawiedliwe stanowisko.

Robert. I ty to mówisz?

Trast. Tak jest, pozwalam sobie... Przybywasz z obcych krajów, gdzie żyjąc z ludźmi światowymi dziesięć razy wyleniłeś się ze swej skóry i wymagasz teraz od swoich, aby oni dla twej miłości z dziś na jutro poprostu ze skóry wyskoczyli, która od urodzenia przylegała do ich ciała... To nierozsądnie, mój chłopcze... A twojej siostrze w rzeczy samej rodzina Mühlingków zwróciła honor, a mianowicie ten honor, którego potrzebowała. — Każdy bowiem przedmiot na ziemi ma swoją wartość zamienną... Honor pałacu spłaca się może krwią — może, powiadam, — honor oficyn można łatwo niewielkim kapitałem do życia przywrócić skoro Robert z gniewem do niego przystępuje. Nie zjedz mnie... Nie skończyłem jeszcze... Wszakże honor dziewicy, o którą chodzi, ma tylko na celu przyszłemu mężowi zapewnić posag, składający się z czystości serca, z prawdziwości uczucia i z miłości? Honor ten służy tylko na cele małżeństwa... A teraz racz się zapytać w tej sferze, z której pochodzisz, czy siostra twoja z tym kapitałem, który jej dzisiaj darowano, nie jest daleko ponętniejszą partyą, niż kiedykolwiek indziej.

Robert. Surowy jesteś, okrutny!

Trast. Surowy, jak natura, okrutny, jak prawda. Tylko próżniaki i tchórze budują w koło siebie za każdą cenę idealne zamki. Ale tyś inny człowiek, a więc podaj mi rękę, otrząśnij ze stóp kurz ziemi ojczystej i nie oglądaj się więcej.

Robert. Najpierw muszę mieć osobistą satysfakcyę.

Trast. A więc za każdą cenę chcesz się bić?

Robert. Zrzekłem się był tego — ale teraz, teraz — chcę!

Trast. Trącisz staroświecczyzną!

Robert. Staroświecczyzną — być może... Może właśnie dlatego, że się urodziłem plebejuszem a pojęcia honoru zaszczepiono mi z zewnątrz — nie mam dość siły, wznieść się na wyżynę twoich poglądów. Pozwól mi więc zginąć w mojem ograniczeniu.

Trast. A jeżeli nie przyjmie?

Robert. Potrafię go zmusić.

Trast. Aha! D. s. Więc na to rewolwer!... Jeszcze słowo, mój chłopcze. Jeśli koniecznie chcesz, aby ci pan Kurt wpakował kulkę w łeb, musisz mu przedewszystkiem odebrać wszelki powód do odmowy.

Robert. Dalibóg — masz słuszność.

Trast wyciągając portfel. Wstydzisz się może?

Robert. Nie, za wiele dla mnie uczyniłeś, abym miał...

Trast wystawia mu czek. Oto jest!

Robert. A jeżeli tego nigdy nie zdołam odrobić?

Trast. Zapiszę to węglem w kominie, w którym prowadzi się rachunki przyjaźni! Głaszcząc go po głowie. No, tak źle nie będzie! Hm — mój chłopcze — jeszcze o czemś zapomniałeś.

Robert. Cóż to?

Trast. Leonia!

Robert zadrżał. Nie mów mi o niej!

Trast. Kochasz ją.

Robert. Ach — nie badaj mnie!

Trast. Chcesz, aby cię wspominała jako mordercę swego brata?

Robert. Wolę to, niż wspomnienie człowieka bez honoru!

Trast prostując się. Czyż i ja nie jestem tak zwanym człowiekiem bez honoru? A przecież znasz mnie dzielnym człowiekiem? I trzymam głowę do góry, jak każdy inny? Wstydź się!

Robert po chwili milczenia. Przebacz mi.

Trast. Przebaczyć — głupstwo! Kocham cię i kwita.

Robert. A więc — nie będę — się bił.

Trast. Słowo?

Robert. Słowo!

Trast. Więc — chodź!

Robert. Dokąd?

Trast. Czy ja wiem? W świat!

Robert. Wybacz — ale nie mogę sobie odmówić przyjemności rzucenia tych pieniędzy do nóg dobroczyńcy.

SCENA III.

Ciż. Wilhelm wchodzi.

Wilhelm. Pan radca w tej chwili wszedł do kantoru.

Trast n. s. Panicza niema. — Dobrze się składa.

Robert biorąc blok. Idę.

Trast. Dobrze. Zaczekaj potem na mnie.

Robert. Czegoż ty tu jeszcze chcesz?

Trast. Nie troszcz się o to. Pójdźno tu bliżej! Cicho. Nim odejdziesz, oddaj mi rewolwer!

Robert przestraszony. Jakto, więc wiesz?

Trast. Poznać go łatwo, tkwi w kieszeni surduta.

Robert. Proszę cię — zostaw mi go! — Albo może mi nie ufasz?

Trast. Obawiam się, że Pepe z mojej opowieści chodzi ci po głowie.

Robert. Czyż słowo honoru nie ma znaczenia dla nas, ludzi bez honoru?

Trast. Dobrze. — Zatrzymaj go przy sobie.

Robert i Wilhelm odchodzą.

Trast chce z początku iść za nim, ale się zatrzymuje. A może to nie dość przezornie! — Gdyby ten drab nadszedł, przytrzymam go tutaj. — Ale teraz o rzecz inną chodzi. — Czy ta dziewczyna jest taką, za jaką ją uważam...

SCENA IV.

Trast. Leonia.

Leonia w zimowym stroju, kapelusz, płaszcz i zarękawek, z prawej.

Trast. Ach! — to się zowie szczęście!

Leonia podając mu rękę, wzruszona. Panie hrabio, czy wiesz pan, skąd wracam? Od pana... zdejmuje płaszcz. Jesteś pan oburzony moją śmiałością. Ale od pana jednego mogę się dowiedzieć, co tu zaszło. — Obawiałam się i podejrzywałam dawno, że brat mój wtrąci to młode stworzenie na drogę nieszczęścia... czy przyjaciel pański dowiedział się o tem?

Trast. Niestety nie na tem koniec!

Leonia. Cóż jeszcze?

Trast. Przyznaję, że brak mi słów, aby młodej pannie...

Leonia. Mów pan śmiało!

Trast. Niech i tak będzie. Rodzina pani uważała za stosowne, zatrzeć tym ludziom wspomnienie hańby i uderzyła w najczulszą ich stronę, w — ubóstwo.

Leonia. Czy dobrze rozumiem? Więc mojego brata wykupiono od tej dziewczyny? Trast potwierdza. O Boże!

Trast. Rozumie pani, że nie wdaję się wcale w roztrząsanie tego faktu. Środek bowiem tym razem użyty ma powszechne zastosowanie do zrywania podobnych stosunków. Obawiam się jednak o naszego przyjaciela!

Leonia ukrywając twarz w dłoniach. Jakżebym pragnęła tę krzywdę mu wynagrodzić?!

Trast. Czujesz się pani do tego zobowiązaną?

Leonia. Mój Boże! Cała istota moja wzdryga

się przeciw wstrętnemu sposobowi postępowania jaki panuje w domu moich rodziców. — Płacić — zawsze płacić — honor, prawo, miłość — wszystko się płaci! — Wszak możemy! Wszak mamy środki po temu!... Rzuca się w krzesło, potem zrywa się. Wybacz pan, nie panuję nad sobą... Mówię o mojej rodzinie, jak o ludziach całkiem obcych!

Trast. A może jesteś im bardziej obcą, niż przypuszczasz?!

Leonia przerażona. A gdybyś pan miał słuszność! — widząc że Trast nadsłuchuje. Co tam?

Trast. Czy to nie głos pani brata?

Leonia podchodząc ku drzwiom. Tak, to on — ze swoimi przyjaciółmi.

Trast d. s. Powinienem mu był broń odebrać! Głośno chwytając za kapelusz. Czy pójdzie do kantoru?

Leonia. Nie, zdaje się, że tu idą!

Trast odkładając znowu kapelusz. Dobrze, więc tu go będę oczekiwał; — a teraz jeszcze jedna prośba!... Przyjaciel mój dziś wraz ze mną opuszcza ten dom, jutro to miasto, a wkrótce prawdopodobnie i Europę.

Leonia d. s. Mój Boże!

Trast. Dzisiaj jednak chciałbym przeszkodzić spotkaniu się Roberta z bratem pani. — Gdyby jednakże miało się stać, iż nie mógłbym stanąć w drodze, proszę, bądź pani w pobliżu!

Leonia żywo przytakuje... — Słychać głosy przed drzwiami — idzie na lewo; jeszcze raz się odwraca. Co czynić, panie hrabio?

Trast. Samej sobie pozostać wierną.

Leonia. O, przyrzekam to panu. *Odchodzi.*

Trast. A teraz — kolej na braciszka!

SCENA V.

Kurt. Lotar. Hugo. Trast.

Kurt *zdumiony.* Pan hrabia tutaj?

Lotar *cicho.* Jak to dobrze, żeśmy się spotkali!

Trast. Panie Mühlingk, proszę o chwilę rozmowy.

Kurt. Wybacz, panie hrabio, mało mam czasu, ojciec mój czeka mnie.

Trast *n. s.* Oho! *Gł.* Chodzi o prośbę!

Kurt. Nie mam tajemnic przed moimi przyjaciółmi, panie hrabio! *Siadają.*

Trast. Jednego z moich przyjaciół dotknąłeś pan ciężko na honorze. — Za moją radą i dla mej przyjaźni zrzeka się satysfakcyi.

Kurt. Mylisz się pan, panie hrabio, pan Heinecke otrzymał już satysfakcyę.

Lotar. Innej niepodobna nam było mu udzielić.

Trast *mierzy go wzrokiem od stóp do głowy.* Nie mówmy o tem, panie Mühlingk. Przyjaciel mój w tej chwili znajduje się prawdopodobnie u pańskiego ojca, gdyż postanowił wszelkie rachunki z domem pańskim osobiście załatwić.

Kurt. Jeśli mu to sprawia przyjemność!

Trast. Przy tej sposobności chciał się również z panem rozmówić!

Kurt. I owszem, panie hrabio!

Trast. Za godzinę przyjaciel mój ten dom opuści... Ze względu na łatwo zrozumiałe rozdrażnienie, byłoby dla stron obu pożądane, ażeby w tym czasie spotkaniu się panów przeszkodzić.

Lotar. Panie hrabio, odwoływanie się do tchórzowstwa nie znajdzie u nas posłuchu.

Trast *spokojnie.* Panie podporuczniku, nie miałem zaszczytu słów moich kierować do pana. — Panie Mühlingk, dobrze się zastanówmy. Rozmawiasz pan z kimś, któremu, nie z sympatyi — otwarcie przyznaję — w chwili tej dobro pańskie bardzo leży na sercu... Wolno mi przeto mówić do pana jak do przyjaciela. Nie zważaj pan na słowa otuchy, wychodzące z ust pańskich przyjaciół.

Hugo. Nie — nie zważaj na nasze słowa otuchy!

Trast. Idź pan za głosem swego uczucia, które mówi: nie wolno mi obstawać przy krzywdzie, którą temu człowiekowi wyrządziłem. Milczysz pan? A więc spełnisz pan moją prośbę?

Lotar *za plecami Kurta cicho.* Odpowiedz mu — ostro!

Kurt. Milczę, panie hrabio, ponieważ brak mi słów na wyrażenie zdumienia wobec dziwnej pańskiej propozycyi. *Wszyscy powstają.*

Lotar *za nim cicho.* Znakomicie! Doskonale!

Kurt. I zarazem zapytuję pana, co go upoważnia do stawiania podobnych żądań w moim domu?

Trast. Żądań — które pan odrzucasz?

Kurt. Wątpisz pan o tem, panie hrabio?

Lotar cicho. Trochę ostrzej — ostrzej!

Trast n. s. Trzeba więc środków gwałtownych! Głośno. Wątpiłem w rzeczy samej, gdyż miałem jeszcze cichą nadzieję, że mam do czynienia z człowiekiem honoru. Przepraszam — omyliłem się.

Kurt. Mój panie — to jest — —

Trast. Obelga — tak jest!

Kurt. Za którą mi pan odpowiesz!

Trast. Tego właśnie pragnę!

Kurt. Jutro poślę panu świadków!

Trast. Jutro? Więc u was sypia się z czemś podobnem? Mam zwyczaj, obelgę zmywać natychmiast.

Kurt z wściekłością. Niech i tak będzie!

Trast n. s. Bogu dzięki. Głośno. Chodźmy tedy!

Lotar wchodząc między nich. Zawsze według zasad, drogi Kurcie! Ty, jako wyzywający skończyłeś już z tym panem! Ostro. Po pierwsze, panie hrabio, według zasad kodeksu honorowego zarówno wyzywający, jak i wyzwany mają dwadzieściacztery godzin czasu do załatwienia swoich interesów. My — to jest ja i mój mandant — zrobilibyśmy z tego użytek, gdybyśmy — tu przechodzę do drugiego punktu — gdybyśmy nie musieli się wyrzec przyjemności pańskiej satysfakcyi, bo pan nas, łaskawy panie, nie obraziłeś...

Trast. Aha!

Lotar. Nie należysz pan bowiem go ludzi, którzy nas obrazić mogą.

Trast wesoło. Tak, tak!

Lotar. Chciej pan sobie łaskawie przypomnieć, że hrabia Trast-Saarberg w dniu 25. czerwca 1864 roku — jak mi to obecnie z rejestrów wiadomo — został wydalony z pułku za niepłacenie długów karcianych. — A zatem... *z niedbałym ukłonem* panie hrabio!

Trast *wybucha głośnym śmiechem.* Moi panowie, serdecznie wam dziękuję za daną mi nauczkę... Zasłużyłem na nią sobie w zupełności... bo największą zbrodnią na świecie jest niekonsekwencya... Przedewszystkiem zaś przekonałem się, że można się czuć wyższym ponad ten wasz nowoczesny honor, a jednak trzeba zostać jego niewolnikiem, choćby tylko dlatego, aby biednego przyjaciela wydobyć z pułapki. — Moi panowie, mam honor!... Przepraszam, nie mam honoru!... Odmawiacie mi go, panowie.... a więc pozostaje mi tylko zwykła przyjemność, pożegnania panów — która jednak nadzwyczajną sprawia mi radość. *Kłania się z uśmiechem i odchodzi.*

SCENA VI.

Kurt. Lotar. Hugo.

Hugo. Osadził nas na lodzie z naszym honorem i znowuśmy się zasypali.

Lotar. Zachowaliśmy się poprawnie.

Hugo. Ależ, mój drogi — kawa, kawa!

Lotar. Dla miłości honoru trzeba ponieść pewne ofiary. Cieszy mnie to, kochany Kurcie, że

ci mogłem wyświadczyć tę przysługę... Cóżbyś był począł bezemnie? — A więc — do wieczora!

Kurt. Jedziecie do miasta?

Lotar. Tak jest.

Kurt. Pojadę z wami.

Lotar. Nie! Toby wyglądało na ucieczkę przed braciszkiem!

Kurt. Co za przypuszczenie?!

Lotar. Więc hrabia ma nas wyśmiać? — Teraz nawet jest twoim obowiązkiem, szukać z nim starcia.

Kurt. O, to zbyteczne.

Lotar. Jest to twoim obowiązkiem, powtarzam, jeśli nie chcesz uchodzić za tchórza.

SCENA VII.

Ciż. Radca w futrze i kapeluszu, z głębi. Za nim Wilhelm.

Radca podając futro Wilhelmowi. Co za bezczelność, napastować mnie w kantorze? Dzień dobry, moi panowie... Powiedz mu, żeby książki zostawił i poszedł sobie do dyabła!... Wilhelm odchodzi. Kurt, czemu uciekasz?... Wiesz dobrze, że mamy ze sobą do pomówienia.

Kurt cicho do przyjaciół. Teraz będzie kazanie... Uchodźcie!

Hugo. Panie radco — czas nasz niestety...

Radca Do widzenia, moi panowie, niezmiernie żałuję, do widzenia.

Lotar cicho. Jutro nam opowiesz spotkanie. Lotar i Hugo odchodzą.

SCENA VIII.

Radca. Kurt.

Radca. Tym razem zdołałem z tej sprawy szczęśliwie wybrnąć — ale z jakiemi ofiarami! Obciążę tem twoje konto. A teraz pomówmy o stronie moralnej tego faktu!

SCENA IX.

Ciż. Pani Mühling z głębi. Później Leonia.

Kurt d. s. Jeszcze stara w dodatku — ładna historya!

Pani Mühling. O synu mój! synu!

Kurt. Służę mamie!

Pani Mühlingk siada. Synu mój, dużo zmartwienia sprawiasz swoim rodzicom. Jakież to wstrętne, upokarzające dla nas, — Leonia wchodzi z lewej, że ojciec twój musi z taką hołotą wchodzić w układy! Do Leoni. A ty czego chcesz?

Leonia. Muszę z wami pomówić.

Radca. Teraz niema czasu. — Idź do swego pokoju.

Leonia. Nie, ojcze. Nie mogę tym razem poprzestać na roli milczącej córki. Należąc do rodziny mam prawo głosu.

Radca. Co znaczy ten ton uroczysty?

Leonia. W domu naszym zaszedł dzisiaj przykry wypadek.

Radca. Że też ja o tem nie wiem! —

Leonia. Nie potrzebujecie nic przedemną taić.

Według zasad obłudy, wpajanych tak zwanym młodym dziewczętom, wypadałoby mi spuścić oczy i udać, że nic nie rozumiem. Tym razem jednak stało się inaczej. Dowiedziałam się o wszystkiem.

Pani Mühlingk. I ty się nie wstydzisz...?

Leonia z goryczą. O — tak, wstydzę się.

Radca. Czy wiesz, z kim mówisz? Straciłaś zmysły.

Leonia. Wybaczcie mi, jeśli użyłam niestosownego tonu. Pragnę was przecie pozyskać, a nie rozdrażniać... Może rzeczywiście byłam złą córką... Może w istocie nie mam prawa wypowiadać własnych myśli, dopóki nie jem własnego kawałka chleba... Jeśli tak jest, chciejcie mi wybaczyć... Będę się starała być stokroć lepszą. — Ale zlitujcie się, zwróćcie mu honor!

Radca. Nie pytam się nawet, co cię ten człowiek właściwie obchodzi? powiedz mi tylko, co przez to zwrócenie honoru rozumiesz?

Leonia. Na Boga, przedewszystkiem trzeba mieć dobrą wolę naprawienia złego — wtedy znajdą się środki.

Radca. Tak sądzisz? Usiądź tu, moje dziecko. Pragnę i tym razem zwyczajem moim postąpić łagodnie i dowodami naprowadzić cię na drogę rozsądku, jakkolwiek raczej surowo skarcić by cię należało. Spojrzyj na tę siwą głowę. Nagromadziło się na niej już wiele honoru, a jednak nie zajmowałem się nigdy tak zwanem poczuciem

honoru...! Ach, ileż to rzeczy trzeba w życiu strawić i ani krząknąć nie wolno, jeśli chcemy iść w górę. A teraz temu młodemu człowiekowi odebraliśmy rzekomo honor. Przypuśćmy, że masz słuszność... Surowo potępiam lekkomyślność twego brata... Ale kto kazał temu młodemu człowiekowi posiadać honor? Skąd go wziął? Z domu? Albo z mego handlu?... Subjekci moi nie są kawalerami maltańskimi... Powiadasz, że ma honor... mam mu go zwrócić... dobrze, ale w jaki sposób? Mam jego siostrę przyjąć za synowę?

Pani Mühling. Proszę cię, Teodorze, w żarcie tego nawet nie wymawiaj...

Radca. Wtrąciłbym tylko siebie i dom mój w nieszczęście. Młody zaś człowiek łatwo całą tę historyę puścić może w niepamięć. A jeśli tego nie uczyni, nasuwa się pytanie, kto ma być nieszczęśliwym, my czy on? a ja odpowiem: niechże on nim będzie, bo ja nie mam ochoty. — Przez całe życie tak postępowałem, a jednak uchodzę za człowieka honorowego.

Leonia wstając. Ojcze, czy to twoje ostatnie słowo?

Radca. Ostatnie. A teraz pójdź do mnie, ucałuj mnie i proś matkę o przebaczeni·.

Leonia cofa się ze wstrętem. Puść mnie, ojcze. Nie chcę cię okłamywać!

Radca. Co to znaczy?

Leonia. Mój ojcze, czuję, że to niesłusznie, czuję, że wymagam od was rzeczy niemożliwych.

Musiałabym inaczej na świat patrzeć, aby ci dorównać — ale — urywa nagle, nasłuchuje — słychać głosy w korytarzu.

Radca. Ale?

Leonia d. s. To on! — Ale... nie, nie mogę więcej...

SCENA X.

Ciż. Wilhelm.

Wilhelm. Młody pan Heinecke z oficyn.

Kurt okazuje przestrach.

Radca. Powiedziałeś, jakie wydałem polecenie?

Wilhelm. Powiedziałem, panie radco, ale z kantoru tu za mną przyszedł.

Radca. Niesłychana bezczelność... Jeśli w tej chwili...

Kurt. Przepraszam cię, ojcze. — Może tylko chce podziękować... Zdaje mi się, że miałby słuszne powody...

Radca. Tacy ludzie nie dziękują.

Kurt. Wszak ma zwrócić pieniądze z dochodów.

Radca. A spodziewam się.

Kurt. W końcu może czego brakować — a potem szukaj wiatru w polu.

Radca. Niech i tak będzie — niech wejdzie.

Wilhelm odchodzi.

Pani Mühlingk. Odejdźmy, Leonio!

Leonia szybko, stłumionym głosem. Kurt!

Kurt. Do usług?

Leonia. Miej się na baczności!

Kurt starając się ukryć swą obawę. Baa! Pani Mühlingk i Leonia odchodzą.

Radca. Siadaj. — To lepiej wygląda.

SCENA XI.

Kurt. Robert. Radca.

Robert na pozór całkiem spokojny, w służbowej postawie, z blokiem pod pachą.

Radca. Byłeś pan cokolwiek natarczywy, drogi panie... Nie ganię jednak nigdy gorliwości w obowiązkach, zwłaszcza w ostatniej chwili służby... Siadaj pan...

Robert. Jeśli pan pozwoli, będę stał!...

Radca. Jak się panu podoba... O moim bratanku wczoraj miałem wiadomość. — Powodzi mu się dobrze... dobrze się bawi... może trochę za wiele, według opowiadań hrabiego Trasta... Junactwo u ludzi wyższych sfer leży we krwi... Przyniosłeś pan niezawodnie bilansy roczne?

Robert. Tak jest. —

Radca. No...?

Robert szuka w bloku i podaje mu arkusz przez stół. Oto są.

Kurt z udaną obojętnością. Czy i ja mogę je przejrzeć, ojcze?

Radca. I owszem. — A może pan masz kopię?

Robert. Tak jest — mam.

Radca. Proszę, podaj pan ją memu synowi. Kurt

podchodzi ku niemu. Obaj stoją przez chwilę naprzeciwko siebie i mierzą się wzrokiem.

Radca. Ile na pierwszy rzut oka osądzić można, całość przedstawia się nieźle. Czysty dochód wynosi...

Robert zaglądając do bloku 116.227 guldenów.

Radca. Gulden hollenderski — marka, 70 fenigów. Kurt, licz z nami.

Robert. 197·585 marek.

Radca. 8 — 1 — 3 — 3 — 8. Zgadza się... 197.585 marek i 90 fenigów. Kurt, nie liczysz?

Kurt. I 90 fenigów. Owszem, ojcze.

Radca. Hm... A co znaczy taki drobny dochód z kawy?

Robert podając mu inny arkusz. Oto szczegółowe obliczenie. Byłem w tem szczęśliwem położeniu, iż przewidziałem przesilenie w handlu kawy, które wywołała konkurencya brazylijska i wskutek tego $^5/_6$ gruntu obróciłem na plantacye herbaty.

Radca. Pan?

Robert. Tak, panie radco, ja!

Kurt. To dziwne.

Radca. A kora chinowa?

Robert. Oto zestawienie podaje mu znowu inny arkusz.

Radca. Także nieszczególnie. W czem więc tkwi podstawa dobrego bilansu?

Robert. Najbardziej zyskownemi okazały się próby uprawy tytoniu sumatrańskiego podaje arkusz

a przedewszystkiem nowo zaprowadzona uprawa herbaty.

Radca. Pan sam podjąłeś się tego ryzykownego przedsiębiorstwa?

Robert. Niezupełnie. Poszedłem za wskazówką mego przyjaciela, hrabiego Trasta.

Radca. A bratanek mój zgodził się na tę operacyę?

Robert. Później — oczywiście.

Radca. Słusznie zauważyłeś, Kurcie — to rzecz dziwna.

Robert. Czy panowie mają się jeszcze o co pytać?

Radca. Z pańskiego zachowania się, zdaje się, lub zdawać się może, że na Jawie prowadziłeś pan na własną rękę interesa mojej firmy. Jak to być może?

Robert. Mając pełnomocnictwo, panie radco...

Radca. A gdzież przez ten czas znajdował się mój bratanek?

Robert. Na to pytanie w ogólności nie umiem odpowiedzieć, panie radco.

Radca. Czy bratanek mój nie przychodził codziennie do kantoru?

Robert. Nie, panie radco.

Radca w coraz większem rozdrażnieniu. Kiedyż więc przychodził?

Robert. W terminie poczty hamburgskiej i do podjęcia pieniędzy.

Kurt. Chcesz pan przez to powiedzieć, że mój kuzyn zaniedbywał swoje obowiązki?

Robert. Nie chcę nic więcej powiedzieć nad to, co powiedziałem.

Radca. W takim razie chciej mi pan wyjaśnić...

Robert. Wyjaśnianie szczegółów życia prywatnego mego pryncypała — nie należy do mnie.

Kurt. Ale oczerniać go?

Robert chce się rzucić na niego, ale się powstrzymuje. Czy panowie mają jeszcze jakie pytania?

Radca. Ile przywiozłeś pan pieniędzy?

Robert. Mam weksle różnych banków w sumie 95.000 guldenów. Oto są.

Radca. Przejrzyj je... synu... Robert i Kurt stoją znowu naprzeciw siebie. — Niema gra — Kurt bierze weksle z ręki Roberta i przegląda je.

Robert. Czy wszystko skończone, panie radco?

Radca. Wstrzymaj się pan chwilę. Pauza.

Kurt. W porządku.

Radca. A więc, kochany panie — Heinecke, życzę panu szczęścia w dalszych kolejach życia... Pozostań pan nadal dzielnym człowiekiem i nie zapominaj, coś winien memu domowi.

Robert. Nie, panie radco, tego nie zapomnę. Oto czterdzieści tysięcy marek, które pan memu ojcu dać raczyłeś.

Radca. Te 40.000 marek były darowizną, a nie pożyczką.

Robert. Pomimo to czuję się zobowiązanym do ich zwrotu.

Radca. Czy ojciec pański polecił panu zwrócić te pieniądze?

Robert. Nie.

Radca. Więc te pieniądze są pańską własnością?

Robert. Tak jest.

Radca. No, no...

Kurt. Ojcze, czy nie wydaje ci się szczególnem, że pan Heinecke mógł robić tak znaczne oszczędności?

Robert zastanawia się przez chwilę, pojmuje znaczenie słów, wydaje okrzyk i rzuca się z pistoletem na Kurta, chwytając go za gardło. Odwołaj to — nikczemniku — odwołaj!

Radca. Na pomoc! Na pomoc!

SCENA XII.

Ciż. Leonia. Później Pani Mühlingk.

Leonia wpadając. Na Boga — Robercie!

Robert na jej widok puszcza pistolet z rąk, słania się, zakrywając twarz rękami; Kurt chwytając oddech, pada na sofę.

Pani Mühlingk wchodząc drzwiami środkowemi. Co się tu stało? Synu! Spieszy ku niemu. Na pomoc, morderca, morderca! — Zadzwońcie, Teodorze!

Radca. Cicho już, cicho! Niema niebezpieczeństwa. — Czego pan tu jeszcze chcesz? Odejdź pan!

Robert. Jako złodziej, nieprawdaż? Poruszenie Leonii. O tak, Leonio, wiedz pani: robiłem za wielkie oszczędności! Jestem złodziejem!

Leonia. Ojcze! Na miłość Boską — coście wy uczynili?

Robert. Dobrze. To dzień obrachunku. Obrachunku między pałacem i oficyną. Pracujemy na was... Znój trudu i krew naszą wam oddajemy... A tymczasem wy uwodzicie nasze siostry i nasze córki i płacicie nam za ich hańbę pieniądzmi, któreśmy wam zarobili... I to nazywacie dobrodziejstwem! — Wszelkiemi siłami pracowałem na wasz zysk i nie pytałem o zapłatę. — Patrzyłem w was, jak w tęczę... Byliście mi świętością, religią... I cóżeście uczynili? Skradliście mi honor mego domu, domu uczciwego, chociaż był waszą oficyną. — Skradliście mi serca mojej rodziny, bo choć biedni nędzarze, kocham ich bardzo — skradliście mi poduszkę, na której chciałem złożyć głowę pracą około waszego dobra strudzoną — skradliście mi ziemię rodzinną — miłość ku ludziom i ufność w Boga — skradliście mi spokój, poczucie wstydu i czyste sumienie — to słońce z nieba skradliście mi także — to wy — wy, jesteście złodziejami!

Radca po chwili milczenia. Czy służba ma pana za drzwi wyrzucić?

Leonia stając między nimi. Ja na to nie pozwolę, ojcze!

Radca. Co? Ty?

Leonia. On sam dobrowolnie i spokojnie stąd wyjdzie. Albo i mnie, ojcze, każesz wypędzić?!

Robert. Leonio! Co pani chcesz uczynić?

Leonia. Ojcze, nie masz dla niego słowa przeproszenia? Ani jednego?

Radca. Oszalałaś!

Robert. Stój — proszę — Leonio!... Z wdzięcznością — życie całe — będę panią wspominał... W tobie zostawiam to, co się nazywa ojczyzną... Bądź błogosławiona za wszystko... Bądź zdrowa!...

Idzie ku drzwiom.

Leonia z namiętnym okrzykiem biegnie za nim i obejmuje go. Nie odchodź!... Nie odchodź! A jeśli odchodzisz, — weź mnie z sobą!

Robert. Leonio!

Radca. Co to ma...?

Leonia. Nie zostawiaj mnie samej! Zimno mi wśród tych murów!... Ty także jesteś moją ojczyzną!... Byłeś mi nią zawsze! Patrz! rzucam ci się na szyję! Nie możesz mnie już odepchnąć!

Radca. Co za hańba!

Leonia. Drogi ojcze, nie unośmy się zbytnio. Kocham tego człowieka. W zamian za to, coście wy mu odebrali, ofiaruję mu to, co posiadam. Nawpół do Roberta. Nie posiadam wprawdzie nic więcej nad siebie samą — ale jeżeli mnie zechce...

Robert. Leonio!

SCENA XIII.

Ciż. Trast.

Trast. Co tu zaszło?

Leonia wybiega ku niemu. Dzięki ci, zacny przyjacielu! Wskazałeś mi właściwą drogę. Robercie, stworzymy sobie nową ojczyznę, nowe obowiązki!

Robert spoglądając na Kurta, który siedzi jak ogłuszony — z odcieniem goryczy. I nowy honor! Obejmuje ją.

Pani Mühlingk. Więc to nasza wdzięczność, Teodorze?

Leonia. Ojcze, matko — nie proszę was o przebaczenie, bo to, co czynię — czynić *muszę!* I czuję, że postępek mój nie jest niesprawiedliwością! Błagam was: pamiętajcie o mnie w pokoju

Radca. Tak? Więc przypuszczasz, że opuścisz. ten dom, zanim ci powiedzą, czem jesteś?... Ty... podnosi ręce jak do przekleństwa.

Trast podchodzi do niego. Wstrzymaj się pan, panie radco. — I pocóż się trudzić przekleństwem? Ciszej. Wreszcie w zaufaniu panu powiem, że pańska córka nie robi złej partyi. Ten młody człowiek jest moim wspólnikiem a ponieważ nie mam krewnych, — więc będzie i spadkobiercą.

Radca. Ależ — — panie hrabio — czemu pan odrazu...

Trast szybko się cofa na trzy kroki, usuwając rękę. Łaskawego błogosławieństwa zażądam listownie! Idzie z Robertem i Leonią ku drzwiom.

ZASŁONA SPADA.